Dziś w numerze: Z. STRZEPEK **Człowiek mechaniczny?** ● T. WOJCIECHOWSKA **Muzyka na eksport** ● **Ludzie XXV-lecia – Tadeusz Różewicz** ● W. RYMKIEWICZ **Boso, ale w ostrogach** ● **Sztuka zapożyczona** ● **Kartki ze wspomnień personalnika**

odgłosu

42 (622)
19. X. 1969 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

XAWERY DUNIKOWSKI

Żołnierz polski

JAN KOPROWSKI

Listy z Austrii

List pierwszy w którym Autor opisuje Wiedeń

Ostatni raz byłem tutaj równo dziesięć lat temu. Gdy po upływie dłuższego czasu człowiek odwiedza znane sobie miejsca, owładają nim dwa sprzeczne uczucia: chciałoby się zastać wszystko tak jak było dawniej, a jednocześnie pragnie się widzieć jakieś zmiany. Wiedeń w 1959 roku nie był tym, czym jest dzisiaj. Oczywiście miasto się nie zmieniło. Po zostały te same rozległe parki (Schoenbrunn, Prater, Volksgarten, Stadtpark), barokowe i gotyckie kościoły (Katedra św. Stefana, Karlskirche, Votivkirche, Michaelerkirche, Ruprechtkirche — jeden z najstarszych w Wiedniu), liczne pomniki (Mozarta, Haydna, Beethovena, Brahmsa, no i przede wszystkim Jana Straussa), okazała Opera, Ring, okalający śród mieście, place, zamki, sklepy. Powiększyła się jednak zasobność miasta, zwielokrotniła liczba aut, którymi zalane są wszystkie, nawet te najmniejsze i najwęższe uliczki, przybyło turystów i w ogóle cudzoziemców, z których jedni przebywają chwilowo, inni na stałe, a jeszcze inni traktują Wiedeń jako punkt startowy do wyprawy w nieznane. Na ulicach i w lokalach słyszy się bodaj wszystkie języki europejskie. Wiedeń stał się jakby współczesną wieżą Babel. Wtedy, w 1959 roku, jeszcze tak nie było. Jeszcze Wiedeń nie był tak zagospodarowany jak obecnie. Przez pierwsze dziesięć lat po wojnie Wiedeń jak zresztą i cała Austria znalazły się pod okupacją czterech zwycięskich mocarstw. Nim doszło do podpisania traktatu pokojowego z Austrią w dniu 15 maja 1955 roku, przedstawiciele mocarstw okupujących odbyli wspólnie 260 posiedzeń przygotowawczych w tej sprawie. Traktat, nie zawierający stwierdzeń o winie Austrii, nie nakładał na nią obowiązku odszkodowań, co pozwoliło krajowi stanąć szybko na nogi. W niecały miesiąc po podpisaniu traktatu pokojowego, dokładnie 7 czerwca 1955 r., parlament powziął jednomyślną uchwałę o neutralności Austrii i od tej pory jest Austria trzecim, po Szwajcarii i Szwecji, neutralnym krajem w Europie.

O Wiedniu mówi się, że spełnia rolę „okna wystawowego Zachodu". W naszej jednotomowej Encyklopedii Powszechnej możemy pod hasłem Wiedeń przeczytać, że jest to „jedno z najpiękniejszych miast Europy". We wrześniu przybył do stolicy Austrii znany aktor i reżyser filmowy Orson Welles, który powiedział m. innymi: „Zawsze, ilekroć jestem zmęczony lub źle się czuję, przyjeżdżam na dwa, trzy dni do Wiednia, aby odetchnąć. Bardzo lubię to miasto". Mógłbym powtórzyć za Wellesem to samo: bardzo lubię to miasto. Wiedeń to jedna z tych metropolii europejskich, w której przybysz nie czuje się zagubiony i obcy. Jest coś w stylu i atmosferze tego miasta, co nastraja do niego życzliwie i przyjaźnie. Wiedeńczycy nie pasjonują się polityką, pasjonuje ich natomiast muzyka i teatr, lubią humor i zabawę. „Być lekkim to bardzo ciężkie zadanie" —

Dalszy ciąg na str. 4

JERZY URBANKIEWICZ

Najpierw ENERGETYKA

Krajobraz polski był jak wełniak, bogaty w różnobarwne pasy łanów. I był zgrzebny. A teraz stanęły na nim koronkowej roboty podpory, ozdobione girlandami izolatorów. Są więc jak żaboty na ubraniach młodych ludzi, a przewody żwisają na podobieństwo naszyjników. Jeśli iść ku miejscu, w którym się zagęszczają i schodzą razem, znika tam pstrokacizna pól, natomiast wypiętrzają się ku niebu geometryczne, mondrianowskie kształty brył, odległe charakterem od przyrody i ludowości. Górą — kominy napełniają dymem obłoki, niżej, za ścianą z aluminium i szkła odbywa się misterium przetwarzania tego, co dała przyroda, w siłę zdolną dokonać rzeczy wielkich.

Jeżeli ten kraj oddał wełniaki do muzeów i skansenów, a postanowił oprzeć swą przyszłość o przemysł, to czynnikiem decydującym o wznoszeniu murów, obróbce metalu, kopaniu ziemi, przetwarzaniu surowców, uruchamianiu miliona adapterów, telewizorów, lodówek i grających szaf — jest elektryczność. W kilku punktach kraju zgrupowano po kilka guzików. Naciśniecie je — ustanie życie.

Gdybym nakręcał film, poświęcony tej tematyce, rzucałbym na ekran jedną elektrownię, a potem wokół niej kilka fabryk. I znów — elektrownię, **najpierw elektrownię!** — a potem jeszcze kilka fabryk. Taka jest racjonalna kolejność uprzemysławiania kraju. I ten potencjał przemysłowy, jakim się szczycimy, powstał według takiego schematu.

Polska energetyka wyprodukowała w roku 1938 około 4 miliardów kilowatogodzin. Taką ilość energii elektrycznej produkuje obecnie jedna tylko Elektrownia Konin. Należy ona do Energetycznego Okręgu Zachodniego i obok Pątnowa stanowi w tym okręgu, a także w Polsce, jeden z największych zakładów energetycznych.

Może reportaż ten należałoby zacząć od Elektrowni Pątnów, bo później budowana, nowocześniejsza, jednakże Konin wydaje się bardziej interesujący, bowiem w jego urządzeniach nawarstwiły się trzy etapy budowy zakładu, stanowiące jakby trzy epoki w dziedzinie nowoczesności.

Wielkie inwestycje realizuje się etapami. Ma to sens czysto praktyczny, leżący w tym, że organizuje się plac budowy pod kątem widzenia jednego, konkretnego zadania. Ma też sens ekonomiczny: część zakładu zacznie się amortyzować zanim całość będzie gotowa. I wreszcie — jak to się dzieje w wypadku Konina — w eta-

Dalszy ciąg na str. 3

ŚWIATA

Pod znakiem dwóch wizyt minęły ostatnie dni w dyplomacji polskiej: udziału partyjno-rządowej delegacji w uroczystych obchodach 20-lecia naszego zachodniego sąsiada — NRD oraz podróży przewodniczącego Rady Państwa PRL do Algierii. Pierwsza z tych wizyt pozwoliła raz jeszcze podkreślić rolę, jaką w powojennej Europie odgrywa pierwsze w dziejach pokojowe i demokratyczne państwo niemieckie, druga — jest przykładem otwartej ogólnoświatowej polityki Polski, która ma przyjaciół również poza europejskim kontynentem.

Podróż marsz. Spychalskiego i przeprowadzone z algierskimi mężami stanu rozmowy zakończyły się wspólnym komunikatem. Podkreśla on daleko idącą zbieżność punktów widzenia Polski i Algierii na aktualną sytuację międzynarodową. Oba kraje świadome konieczności solidarnego działania w walce z imperializmem zadeklarowały gotowość poparcia wszelkich akcji mających na celu „wyzwolenie narodów uciskanych, obronę pokoju, utrwalenie warunków bezpieczeństwa i współpracy międzynarodowej".

Rozmawiające strony wyraziły zadowolenie z dotychczasowego rozwoju stosunków dwustronnych i zapowiedziały rozszerzenie ich na płaszczyźnie gospodarczo-handlowej, kulturalnej i naukowo-technicznej. Ze wspólnego komunikatu wynika, iż omówiono możliwość oparcia współpracy polsko-algierskiej o wieloletnie programy, uwzględniające plany rozwojowe obu krajów.

Przewodniczący Rady Ministrów Algierskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej — Huari Bumedien zaproszony został do Polski.

O wynikach tej wizyty można bez przesady powiedzieć, że otwiera nową kartę w historii współpracy polsko-algierskiej, mającej już swoją tradycję.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden istotny szczegół: w okresie poprzedzającym przyjazd przewodniczącego Rady Państwa PRL oraz w czasie wizyty prasa algierska wiele miejsca poświęciła Polsce, akcentując podobieństwa naszej walki o wyzwolenie społeczne i narodowe oraz dróg rozwojowych. Podkreślano przy tym również, że tak jak Polska ma szerokie kontakty międzynarodowe, tak i Algieria posiada rozwiniętą łączność polityczną nie tylko z krajami arabskimi, ale także krajami środka Afryki. Jest ona — co więcej — dla wielu krajów, borykających się z trudnościami okresu pokolonialnego, przykładem pokonywania tych trudności.

Z Algierii przenieśmy się do Nowego Jorku, gdzie dobiegła końca debata generalna na XXIV sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ. Można przeto pokusić się o wstępną ocenę wystąpień delegatów państw członkowskich, przemówień, które mają zawsze charakter prezentacji stanowisk danych krajów wobec najważniejszych i najaktualniejszych problemów.

Tegoroczna debata — można to uogólnić — pozbawiona była silniejszych akcentów zimnowojennych i przebiegała w oczekiwaniu na wyniki toczącego się dialogu między obu supermocarstwami. Nastąpiła natomiast wyraźna radykalizacja państw tzw. trzeciego świata. Wyraziła się ona w krytycznym oświetlaniu funkcjonowania ONZ oraz politycznej działalności niektórych wielkich mocarstw (zwłaszcza USA).

Problemem, do którego nawiązywali wszyscy mówcy, było rozbrojenie. Debata raz jeszcze uwypukliła niebezpieczeństwa, wynikające z wyścigu zbrojeń, ale nie wniosła nowych, konstruktywnych elementów. Uwidoczniło się przekonanie, że bez porozumienia się wielkich mocarstw nie osiągnie się postępu.

Z problemem rozbrojenia łączy się kwestia zbiorowego bezpieczeństwa w Europie. Większość przedstawicieli krajów naszego kontynentu nie omijała tego żywotnego problemu. Propozycja krajów socjalistycznych zorganizowania konferencji europejskiej spotkała się z wysokim zainteresowaniem i poparciem. Zdaniem większości mówców — jej powodzenie będzie zależało od staranności przygotowania.

Warto odnotować pozytywne i konkretne stanowisko wobec tej idei Austrii i Belgii.

Problem bliskowschodni przewijał się przez większość wystąpień. Ale i tutaj dominowało przekonanie, że klucz do rozwiązania konfliktu jest w rękach wielkich mocarstw, które prowadzą konstultacje na ten temat, ale bez widocznych wyników.

Niemało gorzkich słów w czasie debaty generalnej padło ze strony przedstawicieli krajów o niskim stopniu rozwoju ekonomicznego na temat form i skuteczności pomocy państw uprzemysłowionych, dyskryminacji w handlu, rozwierania nożyc między cenami na surowce i produkty końcowe.

W debacie generalnej zabrali głos przedstawiciele 115 krajów. Obecnie dyskusje toczyć się będą w komitetach i komisjach ONZ. Jak już kiedyś pisaliśmy, nie należy oczekiwać na bieżącej sesji uchwalenia żadnych poważniejszych dokumentów poza ewentualnie konwencją, zakazującą wykorzystywania dna morskiego dla celów wojskowych.

W. SŁAWSKI

ZDZISŁAW STRZĘPEK

Człowiek mechaniczny?

Pierwsza maszyna matematyczna z prawdziwego zdarzenia powstała na początku II wojny światowej w USA i zwała się Mark-1. Była to właściwie cała fabryka wagi 40 ton, liczyła stosunkowo wolno. Z miejsca otrzymała „etat" w armii do wyliczeń balistycznych torów pocisków artyleryjskich. Pewnego razu uciekli się jednak do jej pomocy i fizycy z tajnego ośrodka atomowego w Las Almas. W 103 godziny maszyna przeprowadziła obliczenia dotyczące tajemnic jądra atomu. Ponad stu matematyków musiałoby to robić przez prawie sto lat.

Doskonalszą, choć równie potężną maszyną był „Eniac" o 18 tys. lamp elektronowych. Wraz z nim zjawiło się po raz pierwszy słowo „computer" (ENIAC — Elektronical Numerical Integrator and Computer, czyli „elektronowy numeryczny integrator i maszyna licząca"). Oficjalnie „Eniaca" Amerykanie pokazali dopiero po wojnie. Nikt nie sądził wtedy, że „minister computer" zawładnie wkrótce armią i gospodarką. Zresztą także w 1965 r. laikowi trudno było zrozumieć amerykańską groźbę pod adresem de Gaulla: wystarczyłaby nam jedna sankcja — wstrzymanie dostaw komputerów dla Francji...

Przesada? We wspomnianym roku Francja „zatrudniała" już 1058 komputerów, w rok później 2008, a na rok 1970 przewiduje około 4500! Każda z maszyn wykonuje ogromną ilość pracy, do setek tysięcy obliczeń na sekundę. Jedna maszyna średniej klasy zastępuje ponad 200 urzędników. Komputery znajdują zastosowanie w najróżniejszych działach gospodarki i zarządzania. I wykonują różne, często zaskakujące funkcje.

Na poczcie w Detroit komputer segreguje 27 tys. listów na minutę, w NBP w Warszawie „mózg" NCR-315 w półtorej godziny wylicza ogólnokrajowy stan kas, uwzględniając 12 tys. danych. Szybkość pracy — 18 tys. obliczeń na sekundę! Ilu ludzi zastępuje?

W Belgii komputer informuje o treści każdej z ustaw obowiązujących w tym kraju, w Scotland Yardzie błyskawicznie odpowiada czy któryś z 2 mln odcisków palców, jakie posiada w swojej „pamięci", odpowiada podanemu odciskowi. Komputer prowadzi po morzach japoński statek „Kiusu Maru" (u nas taki statek jest w budowie), wskazuje rybakom brytyjskim, radzieckim i szwedzkim na jakich terenach najlepiej łowić ryby, sprzedaje benzynę w USA, kieruje pracą rafinerii, taśm montażowych, kopalń.

Komputery latają na Księżyc, rzeźbią, piszą wiersze, pomogły uczonym ZSRR rozszyfrować pismo Majów, kierują ruchem ulicznym i w ogóle są podstawą wszelkiej automatyzacji, a więc podstawą drugiej rewolucji przemysłowej.

60 proc. wszystkich komputerów na Zachodzie produkuje koncern IBM (International Business Machines w USA), zarabiając na nich krociowe sumy. Maszyna średniej szybkości kosztuje 6 mln dolarów. Nie możemy pozwolić sobie na większy import takich maszyn, a poza tym Polacy przecież nie gęsi...

Z około 120 komputerów, jakie u nas już pracują, tylko kilka pochodzi z zagranicy. Pozostałe noszą napis „Made in Poland". Główny wytwórca to wrocławska „Elwro", produkująca znane „Odry" — 1003, 1204... Od razu wystartowaliśmy od drugiej generacji maszyn cyfrowych. Pierwsza była na lampach, druga na tranzystorach. Miało to wpływ na wagę, rozmiary i szybkość pracy komputera. Podobne maszyny buduje też Politechnika Warszawska (ZAM-41).

Wydaje się, że nie ma na co czekać. Świat się spieszy. Wkrótce zjawić się mogą komputery czwartej generacji. Takie maszyny, jak encyklopedie, muszą już mieć charakter narodowy. Trudno byłoby u nas posługiwać się np. komputerami z USA.

Automatyzacja powoduje ogromne reperkusje społeczne, a przede wszystkim eliminuje ludzi, co w ustroju kapitalistycznym ma bolesne następstwa. W jej wyniku w USA rocznie traci pracę ok. 1,8 mln ludzi. Szukać muszą innego zajęcia lub iść na zieloną trawkę. N. Wiener pisał: „Jest rzeczą oczywistą, że maszyna automatyczna doprowadzi do bezrobocia, wobec którego obecna recesja, a nawet depresja z lat 30-tych wyda się zabawnym żartem". („Forum" nr 13, 1966 r.).

W wyniku tego zjawiska w firmie samochodowej „Stardand" w Anglii wybuchł pierwszy strajk robotników, a w 1960 r. robotnicy firmy „Renault" w Boulogne wtargnęli do ośrodka obliczeniowego i zniszczyli komputera, który wyliczył iż należy zwolnić część załogi. Zupełnie jak w czasach, kiedy robotnicy rozbijali pierwsze maszyny mechaniczne.

Ale to dopiero początek. Ostatnio amerykańska firma rozpoczęła seryjną produkcję robotów „Unimate". Składają się one z „pamięci", mieszczącej do 200 poleceń i „sztucznej ręki". Producent nie sprzedaje tych robotów, lecz wynajmuje je, żądając za godzinę ceny o połowę niższej od płacy robotnika. To już oznacza początek nowego etapu. Ostatnio 26 specjalistów z USA przesłało raport prezydentowi. Tytuł: Trzecia Rewolucja. Napisali m. in.: „Stany Zjednoczone są sceną, na której rozegra się dramatyczna walka maszyn przeciwko człowiekowi"...

* ☆ *

Tymczasem laboratoria i instytuty usilnie pracują nad udoskonaleniem komputerów i automatów. Określenie „robot", wzięte z fantazji czechosłowackiego pisarza K. Capka, próbuje się już zastąpić bardziej ambitnym i perspektywicznym — homo mechanicus. Taki właśnie stwór, obdarzony nie tylko precyzyjnymi „zmysłami", ale i inwencją mógłby wyręczać człowieka tam, gdzie żywy organizm nie ma jeszcze dostępu (wysokie temperatury, środki żrące, praca wśród promieni X oraz w lotach na dalekie ciała niebieskie).

Nas jednak bardziej frapować powinna możliwość częstego stosowania komputerów do celów pospolitych. Na podstawie opinii z pracowni fizyków i matematyków sądzić można, iż wkrótce mali chłopcy będą robili komputery we własnym zakresie. Niedawno radziecki automatyk, Załmazon, opatentował sensacyjny wynalazek, który dał początek nowej dziedzinie — pneumonice i nowemu rodzajowi komputerów zasilanych powietrzem, a składających się — z plastrów z wyżłobionym gąszczem kanalików. Myśl podchwycili Amerykanie i firma „Martin" wypuściła serię sensacyjnych mikromaszyn cyfrowych wielkości pudełka od zapałek.

Dało to początek nowym konstrukcjom i badaniom. W Polsce pracują nad pneumoniką naukowcy Politechniki Warszawskiej oraz Instytutu Automatyki. Jedno z naszych biur konstrukcyjnych zbudowało już nawet obrabiarkę z pneumonicznym programowaniem i sterowaniem.

Tego rodzaju komputery wystarczają w sam raz do automatyzacji w przemyśle. Osiągają do 10 tys. operacji na sekundę. Sterowanie ogniem działa przeciwlotniczego czy lotem rakiety wymaga jednak maszyn szybkich — do miliona operacji na sekundę. Droga do takich komputerów prowadzi przez kriotron (krio — z greckiego — mróz). Właśnie ostatnio okazało się, że wiele metali w niskich temperaturach wykazuje nadprzewodnictwo elektryczności. Daje to zupełnie nowe szanse w budowie maszyn szybkich.

Konstruktorzy zdają sobie oczywiście sprawę z tego, że najbardziej wydajne i „mądre" komputery nie dorównają mózgowi ludzkiemu. Ustalono, że cała matematyka, wraz z najwyższą, jest jedynie odbiciem olbrzymich operacji logicznych i matematycznych zachodzących w mózgu człowieka. Stosowanie nazwy „sztuczny mózg" jest więc zwykłą chełpliwością. Przyszłości sztucznego mózgu szukać należy nie na polu mechaniczno - elektronicznym, lecz chemiczno - biologicznym, w biochemii. Wiele mózgów ludzkich rozgryza już tę dziedzinę, kryjącą możliwości przechodzące nasze wyobrażenie. Sądzą, że będzie ona królową nauk w XXI wieku.

Łodzianie w karykaturze

RYSZARD STANISŁAWSKI
Dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi

Rys. T. Rynkiewicz

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW":

- **O WYNIKACH AMNESTII — pisze Jan Waszczyński**
- **KTO ICH ZNA? — o oprawcach z Radogoszcza — pisze Karol Badziak**
- **POLSKI CAEN — wspomina Feliks A. Grabski**
- **CO DALEJ PO CZTERDZIESTCE — zastanawia się Jan Bąbiński**

Poza tym w numerze: recenzje, felietony, ciekawostki, nowela kryminalna.

Najnowsze

ENERGETYKA

Dalszy ciąg ze str. 1

pach późniejszych uwzględnia się technicz ny postęp, jaki się dokonał w czasie realizacji etapów wcześniejszych.

W elektrowni, o której mowa, zastanawia, może nawet zachwyca pustka. Brak ludzi. Zwłaszcza tam, gdzie przytłacza hałas wibrujących urządzeń, albo gdzie nadmierna temperatura, gdzie żar bijący od palenisk męczy i przeraża — jest pusto. Dopiero kiedy żelazne drzwi odetną od cie bie strefę szumu i znajdziesz się w pomieszczeniu nastawni, zobaczysz kilku pra cujących ludzi. Jest to przestronna hala, której podstawowy element stanowią pulpity sterownicze poszczególnych jednostek prądotwórczych. Kilka setek zegarów, wskaźników, różnokolorowych lampek. Każdy przyrząd informuje o sytuacji w newralgicznych punktach turbozespołu. A więc poziom wody, jej temperatura, ilość powietrza w stosunku do ilości paliwa itd. Duża tablica rozdzielcza podzielona pionowo na zespoły wskaźników, określone nazwami: Młyn, albo Leonard. Dla przybysza z zewnątrz oglądanie tych urządzeń jest emocjonujące. Zwłaszcza jeśli dla przybysza tego maszyna do pisania i lodówka — to największe i najbardziej skom plikowane urządzenia techniczne, z jakimi się spotyka na co dzień. Więc i ów „Leo nard" zwraca uwagę każdego laika. Ale wydarzenia same sprzyjają poznaniu, bo oto jeden z amperomierzy poniżej napisu „Młyn" pokazuje spadek natężenia, co dy żurny palacz rozszyfrowuje jako „niedobór węgla", sięga więc ręką do stalowego kółka, pokręca je, w następstwie czego dozownik zwany „Leonardem" przyśpieszy dostawę mączki węglowej i wszystko wróci do normy.

„Palacz", o którym mowa, nosi na sobie biały kitelek, znajduje się w odległości kilkudziesięciu metrów od paleniska, nie wie co to łopata, nie zna żaru paleniska, a jego praca polega na obserwacji pulpitu sterowniczego i reagowaniu na nieprawidłowości we wskazaniach zegarów. Czasem dźwięk dzwonka, brzęczyka lub syreny zwróci jego uwagę na coś ważnego. Wtedy naciśnięciem guzika, poruszeniem dźwigni przywróci równowagę. Ten palacz, będący w istocie wysoko wykwalifikowanym technikiem nie ma styczności i nie interesuje się węglem. Gdzieś daleko od niego przychodzi z odkrywki brunatny węgiel, zostaje oczyszczony, potem trafia na młyn i kiedy przyjmie konsystencję mączki, urządzenia wdmuchują go do paleniska.

W tej przestronnej, czystej sali w potokach dziennego światła lejącego się przez szklane ściany rosną palmy w dużych donicach i wygląda to jak w hallu eleganckiego hotelu. Więc budzi się podziw dla nowoczesności. I nie chce wygasnąć nawet wtedy, kiedy inżynier powie z pewnym zażenowaniem: no tak... **to przestarzały** typ automatyki: hydrauliczna i olejowa; nazywa się ten typ Ascania.

Czas więc dowiedzieć się, gdzie tu przebiega granica pomiędzy nowoczesnym a przestarzałym. A choćby tu — powiedzą, kreśląc palcem niewidoczną linię na posadzce, po tej stronie są urządzenia pierwszego etapu, wyłącznie zagranicznej produkcji; po tamtej — krajowe, projektowane przez Centralne Biuro Konstrukcji Kotłowych w Tarnowskich Górach, wykonane przez Raciborską Fabrykę Kotłów. Te drugie, polskie są nowocześniejsze w rozwiązaniach technicznych, są bardziej sprawne w wytwarzaniu pary.

Nowoczesność kroczy tu kilkoma drogami. Pierwsza: coraz lepsze urządzenia. Druga: coraz ekonomiczniejsza produkcja — początkowo zużywano 464 gramy węgla umownego na 1 kilowatogodzinę, obecnie już tylko 382 gramy. Trzecia: zakładano początkowo, że 8,4 proc. wyprodukowanej energii zużyją na potrzeby własne, a obecnie zużywają tylko 7,5 proc.

Urządzenia pierwszego etapu już się w Koninie zamortyzowały. W roku 1986 przestaną pracować turbozespoły zainstalowane w etapie trzecim. Ale wtedy, w świeżych rocznikach „Odgłosów" będą już reportaże z elektrowni jądrowych.

Opuszczamy Konin, by przyjrzeć się kominom Pątnowa.

Pątnów powstał później. Więc zgodnie z tym, co o nowoczesności powiedziano wyżej, powinien zasadniczo różnić się od Konina. I tak jest w rzeczywistości. Istnieje w energetyce (i nie tylko w energetyce) zasada, że zespoły większe są bardziej ekonomiczne. W Koninie zaczynano od jednostek prądotwórczych o mocy 50—55 Megawatów, później zainstalowano jednostki o mocy 125 MW. W ten sposób cały Konin, dysponując **dziewięcioma turbozespołami ma moc 583 MW.** Gdy tymczasem w Pątnowie jest tylko **6 jednostek** (dane na koniec b. roku) **o łącznej mocy 1200 MW.** Większość zespołów wyprodukowano w Polsce.

Przewaga Pątnowa nad Koninem, a także nad innymi tego rodzaju elektrowniami w Polsce polega też na tym, że tu znów poprawiono ekonomiczność produkcji — pod tym względem **Pątnów uchodzi za najlepszą elektrownię w Polsce.** Zlokalizowano ją w sposób optymalny w stosunku do źródeł paliwa, wody chłodzącej, powiązań drogowych, kolejowych oraz wyprowadzenia mocy; architektura jej budynków jest na wskroś nowoczesna; wprowadzono cały szereg rozwiązań technicznych, nie znanych innym, podobnym obiektom.

Tu również pracują owi technicy w kitelkach, ale pulpity sterownicze nie zajmują olbrzymich hal, lecz mieszczą się wszystkie w niewielkiej sali. Oprócz zaś typowych amperomierzy oraz sygnałów świetlnych i dźwiękowych, telewizja pomaga im dostrzegać, co się dzieje w odległych punktach zakładu.

Jeżeli Konin pracuje pełną mocą, a w reportażu niniejszym mogłem napisać, że znany już jest rok, kiedy kominy konińskie przestaną dymić, to Pątnów ma przed sobą jeszcze jeden etap rozbudowy, cały zaś przemysł polski, a również i indywidualny konsument energii elektrycznej marzą o tym, by rozbudowę tę zaczęto i zakończono jak najprędzej.

Wiąże się to z niedoborem energii w kraju. Jak dotąd, nie osiągnięto owego ideału, według którego energetyka kroczy przodem, reszta przemysłu za nią. Może nawet więcej — prawdy tej w Polsce latami nie doceniano i dlatego elektrownie nasze mają wyposażenie powodujące o wiele większą awaryjność, niż mogłaby być. Poza tym — zawiniło tu planowanie, bowiem zakładano mniejsze roczne wzrosty zapotrzebowania na energię niż to się okazało w rzeczywistości. Okazało się też, że zakłady przemysłowe korzystające z ciepła i gorącej wody również mają zapotrzebowanie większe niż planowano początkowo.

A jednocześnie — jeżeli dumą naszej energetyki jest przechodzenie na urządzenia produkcji polskiej, to przemysł urządzenia te produkujący nie dotrzymuje terminów i dlatego budowa nowych elektrowni kuleje. Wreszcie, podobnie, jak to się dzieje w przemyśle motoryzacyjnym — brakuje nam części zamiennych dla energetyki.

W opisanych warunkach brak nam — skromnie licząc — owych 500—800 MW, tzn. brak nam jeszcze jednej elektrowni takiej jak konińska, by jako tako wyrównać niedobory.

W reportażu niniejszym Czytelnik poznał dwie z elektrowni Zachodniego Okręgu Energetycznego. Następujące zaś powody zawiodły reportera w okolice Konina. Po pierwsze — Pątnów — to chluba polskiej energetyki. Po drugie — Okręg Zachodni dysponuje nadwyżką 880 MW i nadwyżkę tę wyeksportuje poza własny teren.

W jakim stopniu odczujemy w ciągu bieżącego jesienno-zimowego szczytu niedobór energii, zależeć to będzie od tych niespodzianek, jakie przyniesie nam pogoda. Jedno jest pewne: zarówno przemysł, jak i my, płatnicy stuzłotowych rachunków za prąd, musimy się zdobyć na to, by racjonalnie gospodarować energią, póki nasz krajowy system energetyczny nie wzbogaci się o następną elektrownię.

Wiadomo na pewno, że w roku 1974 Pątnów da dodatkowo 400 MW. Ponieważ jednak w międzyczasie ruszą jakieś nowe zakłady przemysłowe, a więc zapotrzebowanie jeszcze wzrośnie, sądzić należy, że chyba zapadną rychłe decyzje o budowie jeszcze jakiejś elektrowni, by trwale pozbyć się kłopotów.

JERZY URBANKIEWICZ

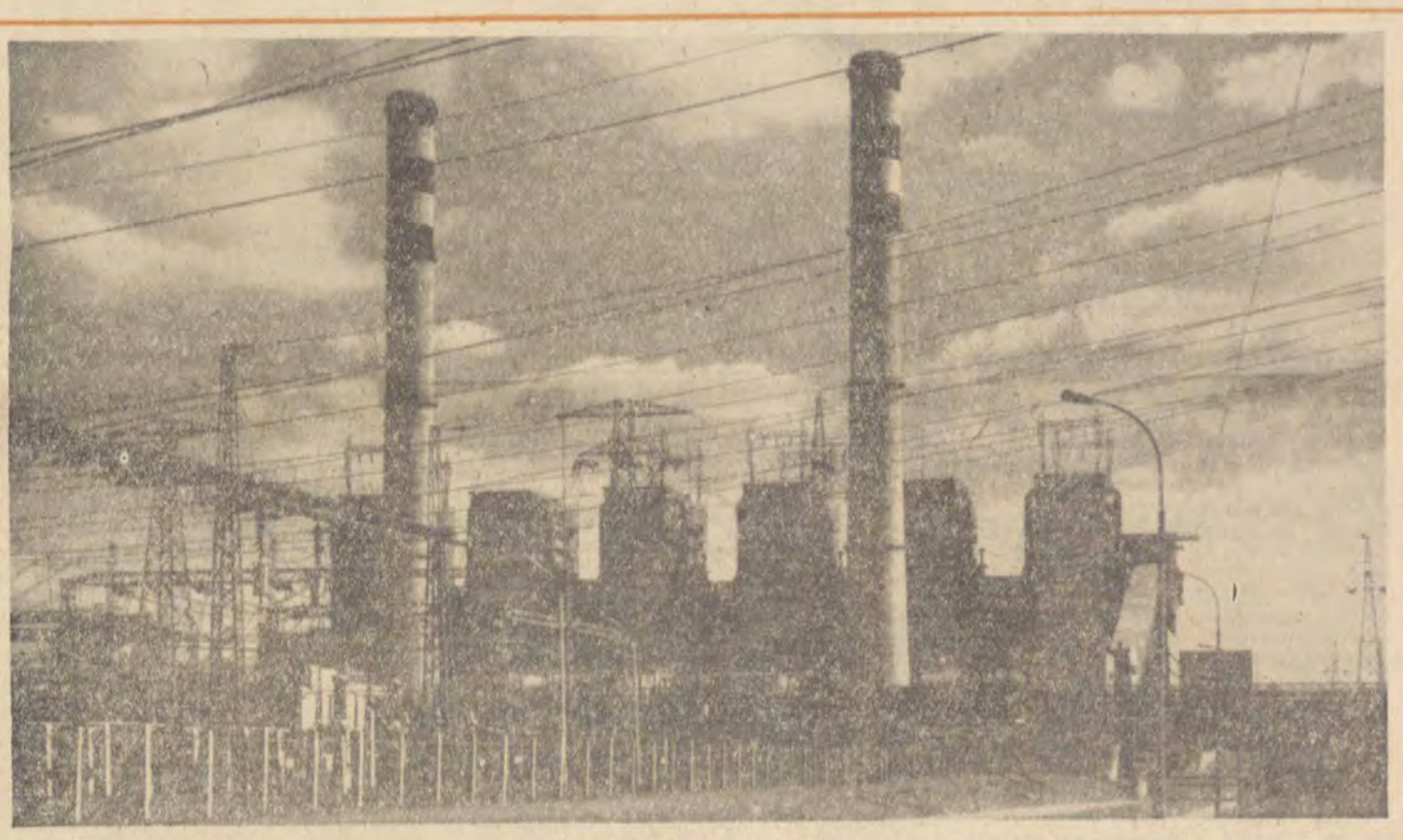

ELEKTROWNIA PĄTNÓW

Fot. A. Fikus

Półka z książkami

SZPIEDZY?

Z trzech części składa się książka Grzegorza Jaszuńskiego pt. „Szpiedzy?".. Z trzech części z których każda mówi o jednym z aktorów ponurej sprawy rozpętanej w latach „zimnej wojny" przez osławionego McCarthy'ego.

Oppenheimer — ojciec bomby atomowej, Sobell — zapomniany człowiek i Hiss — współpracownik Roosevelta. Tragiczne ofiary „polowania na czarownice". Robert Oppenheimer był wybitnym uczonym amerykańskim. Alger Hiss był prawnikiem i dyplomatą. Morton Sobell był małym człowiekiem wplątanym w tryby wielkiej polityki tylko dlatego, że studiował razem z Juliuszem Rosenbergiem oskarżonym o zdradę tajemnic atomowych.

W okresie nasilenia „zimnej wojny" Oppenheimera, Sobella i Hissa okrzyczano szpiegami, choć, oczywiście, szpiegami nie byli. Wszyscy trzej znaleźli się na ławie oskarżonych. Na podstawie dokumentacji amerykanskiej Jaszuński przedstawia ich procesy — trzy odrębne procesy — przy czym stara się pokazać atmosferę polityczną w ówczesnych Stanach Zjednoczonych oraz tło międzynarodowe tragicznych losów trzech bohaterów książki.

Świetnie napisana rzecz nasycona faktami i dokumentami — mówiąca o sprawie głośnej przed laty, o sprawie którą pamiętamy. Nowa książka Jaszuńskiego jest przykładem znakomitej publicystyki — choć mówi właściwie o historii znajdujemy w niej odniesienia do dnia dzisiejszego Ameryki.

J. W.

Grzegorz Jaszuński „Szpiedzy?" Czytelnik 1969 cena 26 zł.

* * *

CENNE STUDIUM

Maria Danuta Pelka-Sługocka napisała książkę, która jest pozycją w literaturze socjologicznej i prawniczej zupełnie unikalną. „Terapeutyczne oddziaływanie szkół zawodowych na więźniów" — studium w którym autorka odpowiada na pytania: czy i w jakim stopniu akcja szkolenia zawodowego prowadzona w więzieniach kształtuje w sensie pomyślnym, resocjalizacyjnym postawę i losy skazanych.

Problem niebagatelny i wcale nie akademicki — chodzi wszak o ludzi, którzy po okresie odosobnienia wracają do społeczeństwa aby w nim żyć, respektując społeczne normy i prawa.

Ale nie tylko postawienie tego pytania i próba odpowiedzi wykreśla wartość książki łódzkiej uczonej. Autorka szukając odpowiedzi na węzłowe pytania na temat wartości reedukacyjnej i resocjalizacyjnej szkolenia zawodowego więźniarek — przebadała przy tej okazji ciekawą i ważką sprawę treści psycho-fizycznej kary, sondowała reakcję kobiet na mechanizmy życia więziennego, na stosunki i rygory panujące w obrębie więziennych murów.

Sygnalizując ukazanie się tej unikalnej pracy nie wdajemy się w ocenę, bowiem ta należy do specjalistów. Warto jednak przytoczyć opinię prof. dr Leszka Lernella, który o tym cennym studium napisał: „O wysokiej wartości dzieła dr Pelki-Sługockiej decydują jego szerokie horyzonty badawcze, celność stosowanych metod i technik, wnikliwa, skrupulatna analiza nagromadzonego materiału, umiejętność budowania syntez a przede wszystkim godna najwyższej pochwały pasja poszukiwawcza, za pomocą której autorka toruje sobie drogę do prawdy".

J. W.

Maria Danuta Pelka-Sługocka „Terapeutyczne oddziaływanie szkół zawodowych na więźniów". Wyd. Polskie Towarzystwo Higieny Psychicznej. Cena 35 zł.

* * *

Z ZAPARTYM TCHEM

Reportaży Lucjana Wolanowskiego nie ma potrzeby ani przedstawiać, ani zachwalać, ich wysokie walory artystyczne od dawna zostały właściwie ocenione przez czytelników. Obecny zbiór pt. „Z zapartym tchem" obejmuje ogromny okres, bo od 1948 r. po lata sześćdziesiąte i otwiera serię publikacji z cyklu „Łowcy sensacji".

Wolanowski, reporter-zysta z zawodu a globtrotter z zamiłowania, trzykrotnie objechał świat tropiąc przygodę w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach i okolicznościach. Wolanowski nie tylko ogląda, lecz bierze sam czynny udział w opisywanych przez siebie zdarzeniach, poluje na wieloryby, odwiedza trędowatych, jest obecny przy wystrzeleniu Gemini 5 z Przylądka Kennedy'ego, wędruje wśród łudożerców i uczestniczy w kondukcie pogrzebowym Agi Khana. Jest wszędzie tam, gdzie jest niezwykłość, groza, nie kończąca się przygoda.

Pisze: „Rozmaicie zarabia się na chleb lub ryż powszedni. Podnosi się wraki z dna morskiego, hoduje perły, łowi wieloryby lub wyrabia skomplikowane leki. Są też jeszcze na świecie ludzie, którzy jedzą ludzi. A więc odwiedzimy zarówno ludożerców delektujących się móżdżkiem człowieczym, jak i fabrykę mózgów elektronowych". To wystarczą za wszelką reklamę.

Książkę czyta się jak doskonały kryminał lub fantazję choć są w niej najprawdziwsze zdarzenia przeżyte w gorących latach XX wieku.

E. I.

Lucjan Wolanowski: „Z zapartym tchem", iskry 1969. Stron 380. Cena 28 zł.

Listy z Austrii

Dalszy ciąg ze str. 1

przeczytałem w jakiejś wiedeńskiej gazecie. Wiedeńczycy chcą lekko żyć i pogodnie umrzeć. Co nie znaczy, że nie robi się tu, czy raczej nie próbuje się robić polityki. Jeden z pierwszych kanclerzy Austrii po 1945 roku, dr Figl, powiedział w parlamencie: „Wyjaśniałem już, że nasza polityka zmierza do tego, aby Austria utrzymała się pomiędzy Wschodem i Zachodem". Czy jest to łatwe? W Austrii działają różne siły polityczne, różne partie i ugrupowania różne organy propagandowe, nie zawsze przychylne dążeniom koegzystencjonalnym, wynikającym ze statusu neutralności kraju. Ostatnio zaktywizowały się niektóre ośrodki, a neofaszystowska, szowinistyczna „National — und Soldaten Zeitung", ukazująca się w Monachium. ma swoje specjalne wydanie wiedeńskie. Należy zauważyć, że penetracja NRF w Austrii, szczególnie na terenie gospodarczym, zdaje się stale wzrastać. Polski przedstawiciel „Interpressu" w Wiedniu nazwał to „zimnym Anschlussem". Naturalnie zdają sobie z tego sprawę Austriacy, szczerze zatroskani o losy swego kraju. Jedno z pism obawy te wyraziło w bardzo dramatycznym tytule artykułu wstępnego „Ausverkauf Osterreichs?" (Czy wyprzedaż Austrii).

Wszelako Wiedeń to nie Austria, a Austria to nie Wiedeń. Stolica Austrii w stosunku do reszty kraju zajmuje pozycję zupełnie wyjątkową. W Wiedniu mieszka 25 proc. ludności całej Austrii, jest to więc stolica nie na miarę małego siedmiomilionowego kraju. Co innego kiedyś, za czasów monarchii austro-węgierskiej, kiedy Wiedeń był stolicą obszaru o 50-milionowej ludności. Jest ona przy tym (ta stolica) mocno skosmopolityzowana, czego nie można powiedzieć o pozostałych prowincjach. Studiowanie książki telefonicznej lub przyglądanie się szyldom ulicznym wskaże nam od razu, jak wielki procent mieszkańców Wiednia pochodzi z innych krajów, głównie słowiańskich, a także z Węgier i Włoch. Teraz doszli jeszcze robotnicy cudzoziemscy, których tu pełno z wielu stron Europy, zwłaszcza tych biedniejszych. To krzyżowanie się różnych kultur nader trafnie scharakteryzował Kurt Skalnik w swojej książeczce „Die osterreichische Presse" (Prasa austriacka): Austria nie leży w pustej przestrzeni. Nie jest również samotną wyspą w cichym zakątku naszego globu. Położona w samym sercu Europy jest, jak żaden inny kraj, wystawiona na różnorakie wpływy z zachodu i wschodu, z południa i północy". Może najwyraźniej widać te wpływy w Wiedniu, gdzie — jak powiedział nasz obecny ambasador — nie robi się wielkiej polityki na Ballhausplatz (siedziba rządu austriackiego, przyp. autora), ale gdzie jest świetny punkt obserwacyjny europejskiego życia politycznego. Wiedeń to przecież siedziba wielu instytucji o charakterze międzynarodowym, m. in. mieści się tutaj Instytut Atomowy, w Wiedniu odbywają się stale spotkania i konferencje polityków i dyplomatów, poświęcone węzłowym problemóm naszej epoki. Nade wszystko jednak jest Wiedeń stolicą sztuki. Po dawnemu lubi się tutaj muzykę i teatr, liczne festiwale muzyczne i teatralne świadczą dowodnie, że Wiedeń nie utracił w tej dziedzinie swego prymatu. Nie mam zamiaru opisywać życia teatralnego, uczynię to kiedy indziej i na innym miejscu. Powiem tylko, że przetrwał w Wiedniu dawny zwyczaj chodzenia do teatru „na swego ulubionego aktora". Po dziesięciu latach ociągania, walk i sporów, pierwsza scena Wiednia, Burgtheater, zdecydowała się wreszcie na wystawienie Bertolta Brechta. Wybrano „Pana Puntillę", którego zagrał aktor starszego pokolenia, ulubieniec publiczności wiedeńskiej — Attila Horbiger. Sztuka cieszy się dużym powodzeniem, ale wszyscy mnie zapewniali, że większa w tym zasługa odtwórcy głównej roli, niż autora. A nikt chyba nie zaprzeczy, że jest to utwór znakomity, jeden z najlepszych utworów Brechta. Jeśli tak długo ociągano się z wystawieniem Brechta, to m. in. dlatego, że Wiedeń jest konserwatywny, boi się wstrząsów zarówno w życiu jak i w sztuce. Ma to swoje złe i dobre strony. Złe, bo nowość przychodzi tu później niż gdzie indziej. Dobre, bo na ulicach, na przykład, nie widzi się prawie wcale beatlesów, hippiesów, clochardów itp., a i dziewcząt w mini-spódniczkach mniej tutaj, niż w Warszawie i Łodzi. We wrześniu przypadła 30 rocznica śmierci Zygmunta Freuda, który — jak wiadomo — zmarł w Londynie na wygnaniu. Otóż psychoanaliza Freuda zrobiła karierę na całym świecie, zwłaszcza w Ameryce, gdzie badaczy jego twórczości jest teraz więcej, niż gdzie indziej. Natomiast w Wiedniu, z którym życie i praca Freuda tak były związane, jakby nie dowierzano temu wszystkiemu. Dopiero obecnie, w trzydzieści lat po jego śmierci, otwiera się w domu, w którym Freud mieszkał, muzeum, powołano do życia towarzystwo jego imienia, zaproszono na uroczystości uczonych amerykańskich (po raz pierwszy przyjechała również z tej okazji żyjąca stale w Ameryce córka Freuda, Anna, autorka pracy „Nasze Ja i mechanizmy obronne"), ustalono wreszcie że w roku przyszłym odbędzie się w naddunajskiej stolicy światowy kongres psychoanalityczny. Z licznych artykułów w prasie wyłoniła się przede mną sylwetka Freuda jako człowieka (monogamista, ojciec sześciorga dzieci) i uczonego, który dziełem swoim wpłynął zdecydowanie nie tylko na rozwój nauki, ale również i może głównie na rozwój sztuki i literatury. Jakże nie pasuje do Freuda owo zdanie, gdzieś kiedyś przeze mnie czytane lub zasłyszane: „Erotoman, leczący shisteryzowane Żydówki".

Pomnik Jana Straussa.

Ale autor tego sprawozdania nie mógł sobie kupić ani nowych książek o Freudzie, ani innych wydawnictw, na które miał oskomę. bo książki w Austrii jak w ogóle w krajach zachodnich są bardzo drogie. Niedostatek w tym względzie wynagradzałem sobie w ten sposób, że chodziłem do starych kawiarń (nie tych w stylu „espresso"), gdzie znajdują się bodaj wszystkie gazety krajowe i wiele zagranicznych i przy filiżance kawy oraz zwykłej wody do picia (zwykła, ale co za woda!) czytałem godzinami o tym, co dzieje się w świecie sztuki i polityki. Szczególnie upodobałem sobie „Cafe Raimund", do której niegdyś zachodzili wszyscy pisarze i artyści, a dokąd i dziś kieruje swe kroki niejeden poeta i recenzent teatralny. Przywiozłem sobie wiele wycinków z gazet (nie, nie — nie wycinałem ich po kryjomu, zdobywałem je w archiwach i redakcjach), które stanowić będą pomoc i dokumentację w tym, co jeszcze o mojej podróży zapragnę napisać.

A co mi się najbardziej udało? Najbardziej udała się pogoda. Było pięknie i słonecznie, prawdziwa złota jesień. A ja bardzo lubię jesień, tę wczesną, właśnie wrześniową. Jest to okres, w którym natura przestaje być gwałtowna. Nie ma wielkich upałów, nie ma burz i huraganów. Wedle opinii ludzi w piśmie uczonych, jesień przypomina dojrzałego człowieka, który pozostawił za sobą namiętności wieku młodzieńczego. Jego spokój i opanowanie oznaczają mądrość i zrozumienie świata. Wzrusza mnie owa przymieszka melancholii i pogodnej rezygnacji. Posłuchajcie co o tej jesieni wiedeńskiej pisał kiedyś Józef Roth: „Jesienią trzeba być koniecznie w Wiedniu, widzieć Ringstrasse, pokrytą złotym listowiem, domy jak pałace, ulice wyrychtowane i wymyte, gotowe na przyjęcie wytwornych gości". Żółte liście w Volksgartenie czy Stadtparku przywoływały wciąż na pamięć parki i drzewa w kraju. Bo przecież złota polska jesień wcale nie jest gorsza od wiedeńskiej. Może nawet piękniejsza.

JAN KOPROWSKI

Sztuka ludowa Ziemi Łódzkiej

ANTONI SZRAM

Fot. A. Wach

Dziś, kiedy ludowa twórczość artystyczna stała się przedmiotem powszechnego zainteresowania sprawą prowadzenia akcji upowszechniania sztuki ludowej przeszła ze sfery postulatów do rzeczywistości. Zainteresowanie sztuką ludową, planowe organizowanie konkursów, wystaw objazdowych, monograficznych, zjazdów twórców ludowych, regionalnych sesji popularno-naukowych, dni sztuki ludowej i folkloru; edycje katalogów i wydawnictw specjalistycznych (jedyna w Polsce seria regionalna „Łódzkie Studia Etnograficzne" pod redakcją prof. dr Kazimiery Zawistowicz-Adamskiej) stały się istotnym czynnikiem wzbogacającym życie wsi i miast naszego okręgu.

Szereg konkursów podjęło próby rekonstrukcji niektórych dziedzin sztuki ludowej poprzedzonej badaniami i penetracją terenu. Na niektórych obszarach województwa z dużym powodzeniem, z wykorzystaniem istniejących elementów folkloru w postaci mniej lub więcej oryginalnej i autentycznej.

Rok 1965: konkurs na obrzędy i zabawkarstwo ludowe powiatu sieradzkiego; konkurs sztuki ludowej Ziemi Wieluńskiej.

Rok 1966: pierwszy konkurs sztuki ludowej powiatu łódzkiego.

Rok 1967: dwa konkursy na kowalstwo artystyczne powiatu łęczyckiego oraz sieradzkiego; konkurs sztuki ludowej Ziemi Piotrkowskiej.

Rok 1969: w dwudziestopięciolecie PRL konkurs współczesnej sztuki ludowej województwa łódzkiego.

Upowszechniając w swoistej formie dorobek arty-

Kultura polska w świecie

Muzyka na eksport

PYTANIE: Redakcja nasza przeprowadziła już szereg rozmów mających na celu ukazanie ekspansji dzieł polskich twórców z poszczególnych dziedzin sztuki poza granice naszego kraju. Muzyka polska, szczególnie współczesna, zajmuje w „eksporcie kultury" niepoślednie chyba miejsce?

ODPOWIEDŹ: Na ogół zwykło się dzielić naszą współczesną twórczość muzyczną na dwa okresy. Pierwszy od 1965 roku, kiedy kompozytorzy, raczej starszego pokolenia, uprawiali twórczość w rygorach tradycyjnych, i drugi, po 1956 roku, kiedy do głosu doszli kompozytorzy młodzi i w latach 1958—60 młoda generacja zadecydowała o skoku rozwojowym w dziedzinie naszej twórczości muzycznej. Dołączyli do niej zresztą niektórzy twórcy średniego i starszego pokolenia. Posiadamy dziś stosunkowo liczną grupę współczesnych kompozytorów, którzy znajdują się w czołówce światowej, a zdarza się, że ich prawykonania odbywają się za granicą — żeby sięgnąć do przykładu najświeższego — premiery „Diabłów z Louden" Pendereckiego i ich wykonania w Monachium i Hamburgu. Do stale wykonywanych w świecie należą dzieła młodej niedawno Grażyny Bacewicz. Witolda Lutosławskiego, Tadeusza Bairda, Bolesława Szabelskiego, Kazimierza Serockiego i innych oraz twórców młodszego pokolenia: Krzysztofa Pendereckiego, Henryka Góreckiego, Bogusława Schaffera, Augustyna Blocha, Wojciecha Kilara, Witolda Szalonka, Romualda Twardowskiego i innych.

PYTANIE: Gdzie i czyje dzieła wykonywane są najczęściej?

ODPOWIEDŹ: Trudno byłoby dać tu jednoznaczną odpowiedź, dotarliśmy bowiem z muzyką polską na wszystkie kontynenty, najszerzej oczywiście w Europie. Żeby jednak dać pełną odpowiedź trzeba wymienić z jednej strony wykonania polskich dzieł muzycznych, z drugiej — występy polskich wykonawców, którzy jeśli wyjeżdżają za granicę, propagują przede wszystkim muzykę polską.

PYTANIE: Może więc najpierw o samych dziełach?

ODPOWIEDŹ: W porównaniu z okresem na przykład sprzed 10 lat wzrosła istotnie liczba wykonań tworów współczesnych kompozytorów polskich, wzrosła też liczba krajów, w których są wykonywane. I tak dla przykładu: w 1968 roku wykonano za granicą 115 utworów 37 współczesnych kompozytorów polskich. Liczba wykonań jest oczywiście znacznie większa niż liczba utworów, niektóre z nich były bowiem grane w kilku krajach. Trudno byłoby tu wymienić nazwiska wszystkich kompozytorów czy tytuły utworów, może więc tylko przykładowo — utwory Grażyny Bacewicz grano w tym roku w ZSRR, Austrii, Szwajcarii, Włoszech, Meksyku, USA, Kanadzie, Francji, NRD; Tadeusza Bairda w NRF, Austrii, Czechosłowacji, Belgii, Argentynie, Brazylii, Japonii, Holandii, Szwajcarii, Kubie i Hiszpanii; Witolda Lutosławskiego w NRF, Szwajcarii, Holandii, Austrii, Francji, Hiszpanii, Belgii, na Kubie, w Chile, Turcji, Iranie.

PYTANIE: Zapewne do popularyzacji współczesnej muzyki polskiej przyczynia się festiwal „Warszawska Jesień", prezentujący najnowsze osiągnięcia muzyki polskiej?

ODPOWIEDŹ: Na pewno, ale wydaje mi się, że autentyczne dzieła sztuki rozpoznawane są dzisiaj dość szybko. Warto może powiedzieć tu jeszcze o międzynarodowych nagrodach muzycznych dla naszych twórców, bo one najprawdziwiej świadczą o ocenie wartości dzieł. Na przykład w 1967 roku nagrody takie otrzymało kilku naszych kompozytorów. Witold Lutosławski otrzymał nagrodę im. G. Herdera, ufundowaną przez Uniwersytet Wiedeński, za całokształt twórczości. Drugą nagrodę otrzymał Lutosławski od Komitetu Funduszu Leonie Sonnig w Kopenhadze „jako wyraz uznania i admiracji dla kompozytorskiego mistrzostwa, które jest inspiracją dla życia muzycznego naszych czasów". Warto dodać, że nagrodę tego Komitetu otrzymali dotychczas Igor Strawiński i Leonard Bernstein.

Krzysztof Penderecki otrzymał w 1967 r. trzy nagrody za „Pasję według Łukasza": „Prix Italia" na Międzynarodowym Festiwalu Radia i Telewizji w Rawennie, Medal 100-lecia Sibeliusa Fundacji Herriet Cohen w Londynie i Grand Prix Francuskiej Akademii Płytowej za „Pasję" na płycie Polskich Nagrań. Henryk Czyż otrzymał nagrodę im. Edisona Międzynarodowego Stowarzyszenia Producentów Płyt za nagranie „Pasji" na płytach Harmonia Mundi. Henryk Górecki zajął III miejsce na Międzynarodowej Trybunie Kompozytorów w Paryżu za „Refren" na orkiestrę symfoniczną. Na tym samym konkursie Zbigniew Bujarski zajął V miejsce za „Cantara" na orkiestrę symfoniczną.

Rok 1968 przyniósł mniej nagród — nie wszystkie lata mogą być jednakowo urodzajne — niemniej są to nagrody cenne. Witold Lutosławski zajął I miejsce na Międzynarodowej Trybunie Kompozytorów w Paryżu za III Symfonię. Tadeusz Baird otrzymał nagrodę Fundacji Muzycznej im. Koussewitzky'ego przy Bibliotece Stanów Zjednoczonych „za wybitny wkład do muzyki naszych czasów", Romuald Twardowski uzyskał wyróżnienie na konkursie kompozytorskim w Monaco za „Małą Liturgię Prawosławną".

PYTANIE: Mamy już więc niejaką orientację w ekspansji naszych dzieł muzycznych. A wyjazdy muzyków — wykonawców, którzy przecież spełniają również bardzo ważną i istotną rolę w popularyzacji kultury muzycznej poza granicami kraju?

ODPOWIEDŹ: Liczba wyjazdów naszych artystów koncertujących za granicą utrzymuje się od lat mniej więcej na tym samym poziomie. Grają tu rolę koszty, są to bowiem przeważnie imprezy materialnie deficytowe. Niemniej liczba ta nie jest mała, a już na pewno poszerzył się krąg krajów, do których wyjeżdżają nasi artyści. Na naszej mapie wyjazdowej, poza wszystkimi niemal krajami europejskimi, znajdują się: Algieria, Argentyna, Brazylia, Chile, Japonia, Kanada, Kolumbia, Liban, Meksyk, Panama, Syria, USA.

PYTANIE: Oglądałam niedawno dane statystyczne, ujmujące w cyfrach liczbę zagranicznych wyjazdów artystów reprezentujących muzykę poważną: zespołów i solistów oraz skupionych w „Estradzie" — czyli przedstawicieli muzyki lekkiej, rozrywkowej. Muszę przyznać, że proporcje są tu lekko szokujące. Podam przykłady: w roku 1966 przedstawiciele muzyki poważnej dali za granicą 466 koncertów, muzyki rozrywkowej — 29.799. W roku 1967 — muzyki poważnej — znów 466 koncertów, muzyki rozrywkowej — 24.385. W roku 1968, muzyki poważnej — 632, muzyki rozrywkowej — 27.751. Rozumiem, że za granicą chętnie wita się zespoły rozrywkowe, tak samo zresztą jak i u nas, ale czy proporcje te nie są przypadkiem zachwiane? Nas interesuje chyba przede wszystkim propaganda sztuki przez duże S, a nie wysyłanie zespołów rozrywkowych często mierznej jakości. Tymczasem w tym układzie nasi znakomici soliści, nasze znakomite zespoły symfoniczne i kameralne, nasza wspaniała współczesna muzyka pozostaje bita przez big-beat.

ODPOWIEDŹ: Niektóre kraje, szczególnie kraje skandynawskie reflektują na taki rodzaj muzyki. Te zespoły składają się z artystów estradowych. Występują przeważnie w lokalach rozrywkowych i gastronomicznych i zarabiają dla kraju dewizy, za które później mogą wyjeżdżać za granicę zespoły poważne. Zresztą w tym roku liczba zespołów rozrywkowych będzie zmniejszona, istnieje też tendencja, by nie wyjeżdżały w nich dziewczęta.

PYTANIE: Co ma również swoją wymowę. Pozwolę sobie wymienić kilka nazw zespołów rozrywkowych, które nas reprezentują za granicą: Pantera Combo, Okrasa Naud, Batory Combo, Lech Combo, Jockers Kwartet, Jagiełło Combo, Syrena Kwartet, Adaś Kwartet, Janina Combo, Show Makers, Szołtysek Kwintet, BBB Kwartet, The Blue Birds i kilkadziesiąt innych. Być może, że znajdują się wśród nich i artyści — w swojej specjalności — z prawdziwego zdarzenia. I nie o to chodzi. Nie o to również, że jeśli w naszej ludowej ojczyźnie są autentyczni milionerzy, to są oni wśród big-beatowców. Chodzi o to, że ci „przedstawiciele polskiej kultury" nie zawsze godnie reprezentują swój kraj, o czym „Estrada" i Ministerstwo Kultury i Sztuki wiedzą lepiej niż ja. Chodzi też o to, że cel, nawet tak wzniosły jak zdobywanie dewiz — nie zawsze uświęca środki. Wydaje się, poza tym, że na wyjazd Filharmonii Narodowej nie musi zarabiać Janina Combo czy Pantera Combo lub Adaś Kwartet, że są na to inne sposoby, m. in. na przykład wymiana.

ODPOWIEDŹ: Być może.

Rozmowę wymyśliła:
TERESA WOJCIECHOWSKA

P.S. Był to najłatwiejszy wywiad w moim życiu, albowiem przeprowadziłam go sama z sobą. Nie dlatego, że nikt inny dotychczas nie chciał ze mną wywiadu zrobić, ale dlatego, że nikt inny nie chciał ze mną rozmawiać na temat, o którym napisałam. Niestety, w Ministerstwie Kultury i Sztuki odżywają zdaje się metody dawno już nie praktykowane: całkowity brak czasu dla dziennikarzy. Po szeregu międzymiastowych rozmów telefonicznych z Ministerstwem, postanowiłam zrezygnować z dalszego dopraszania się rozmowy. Bo: dyrektor zespołu do spraw teatru i muzyki — pani Szubertowa chętnie byłaby udzieliła mi informacji, ale właśnie wyjeżdżała za granicę. Wskazany przez nią zastępca pan naczelnik Szarewski po prostu nie umiał na ten temat nic powiedzieć i skierował mnie... do książki pt. „Polska współczesna kultura muzyczna 1944—1964", ewentualnie do Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą. Tam wicedyrektor Płaza nie miał czasu w tym tygodniu, a sekretarka wyjaśniła mi, że jak nie miał w tym, to nie będzie miał i w przyszłym. Z dobrego serca skierowała mnie do działu statystyki BKWZ. Tam udostępniono mi dane statystyczne. Dziękuję i za to.

T.W.

spektakle tygodnia

	spektakle	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Zemsta nietoperza",	2	2520	100
„Carmen",	1	1260	100
„Tragedyja albo rzecz o Janie i Herodzie",	1	920	80
„Kniaź Igor",	1	1260	100
MAŁA SALA NOWY			
„Kaprys",	3	450	75
„Bliski nieznajomy",	1	200	100
„Dziś do Ciebie przyjść nie mogę",	2	1400	100
„Księżyc świeci nieszczęśliwym",	1	500	75
„Szkoła kobiet",	3	1200	65
im. JARACZA			
„Ballada o tamtych dniach",	5	2960	90
„Ania z Zielonego Wzgórza",	2	1260	90
7.15			
„Jadzia wdowa",	5	1558	91
„OPERETKA"			
„Skrzydlaty kochanek",	7	6801	90
FILHARMONIA			
koncerty symfoniczne	2	1291	90

styczny ludu na użytek całego społeczeństwa, wnosimy fundamentalne wartości kultury ludowej do skarbnicy narodowej. Akcje nasze pełnią więc rolę czynnika kulturowo integrującego.

XXV-lecie Polski Ludowej twórcy ludowi uczcili spontanicznym udziałem w wojewódzkim konkursie pn. „Współczesna Sztuka Ludowa Ziemi Łódzkiej". Nadesłano rekordową ilość nowych przedmiotów twórczości plastycznej i przemysłu ludowego. Ogółem wykonano około 10.000 eksponatów, spełniając w ten sposób życzenia organizatorów, jak również wywiązując się z odpowiedzialności tworzenia nowych wartości kultury ludowej.

Wojewódzki konkurs był jakby podsumowaniem dwudziestu pięciu lat mecenatu państwa. W efekcie dało to najpełniejsze jak dotąd informacje do przygotowanej publikacji „Twórcy Ludowi Ziemi Łódzkiej". Dorobek eksponowano na wystawie pokonkursowej. Udział twórców ludowych, drogą eliminacji regionalnych, przedstawiał się następująco: Rawskie — 51 osób, Łowickie — 42 osoby, Sieradzkie, Łaskie — 36 osób, Piotrkowskie, Bełchatowskie, Radomszczańskie — 37 osób; Łęczyckie, Poddębickie — 26 osób, Brzezińskie i Tomaszów Mazowiecki — 25 osób; Podłódzkie — 22 osoby i Wieluńskie, Pajęczańskie — 5 osób. Łącznie udział w konkursie wzięły 244 osoby.

Proces zanikania sztuki ludowej jest bardzo niejednolity i specyficzny w stosunku do różnych regionów. Wojewódzki konkurs rejestruje stan twórczości ludowej, którą można podzielić na trzy grupy w zależności od osiągnięć i dorobku artystycznego. Do grupy pierwszej należy zaliczyć powiaty o żywym folklorze i sztuce ludowej, znanej z ciągłej tradycji; są to powiaty: łowicki, rawski i sieradzki.

Drugą grupę stanowią powiaty, gdzie sztuka ludowa wprawdzie występuje, lecz jej ośrodki produkcji zostały ujawnione niedawno. Odkryto tam twórców ludowych i pobudzono ich działalność artystyczną; są to powiaty: łęczycki, piotrkowski, radomszczański, wieluński, łaski i brzeziński, a również — bełchatowski, pajęczański, poddębicki i wieruszowski (powiaty powstałe na skutek nowego podziału administracyjnego).

Trzecią grupę stanowią powiaty: łódzki, skierniewicki, kutnowski, które w niewielkim tylko zakresie zachowują swoją odrębność formy, często już inspirowaną, albo świadomie naśladującą styl ludowy w plastyce figuratywnej (rzeźba) z wzorowaniem się na tzw. tematyce ludowej.

Podział ten jest zresztą umowny. Każda z wymienionych grup nie stanowi jakiejś wyraźnej odrębności. Na pewno grupa pierwsza wykorzystuje najbardziej charakter, efektowne elementy tradycji artystycznej Ziemi Łódzkiej. Podobnie w powiatach piotrkowskim i łęczyckim podejmuje się próby rekonstrukcji w zakresie tkactwa, które prezentują jakiś odrębny obraz stylu ludowego tych ziem.

Twórczość ludowa jest bardzo popularna w naszym województwie i nie pozostaje w cieniu plastyki profesjonalnej. Wycinanki, tkaniny, rzeźby oraz kowalstwo z zasady tkwią jeszcze w swej oryginalnej i nieskażonej postaci.

Sąd konkursowy jubileuszowego konkursu dokonał oceny bieżącego dorobku artystycznego w poszczególnych dziedzinach twórczości ludowej, wyróżniając nagrodami następujące osoby:

Za rzeźbę — I nagroda — **Czesław Czekalik**, II nagroda — **Stanisław Korpa, Mieczysław Żegliński, Ignacy Kamiński, Bolesław Grabski**, III nagroda — **Filomena Robakowa, Jan Lamęcki.**

Za papierowe ozdoby wnętrz — I nagroda — **Justyna Grzegory, Katarzyna Stańczyk, Rozalia Makówka, Janina Przyborek, Józefa Siwek, Maria Słomczyńska, Maria Wojciechowska.** II nagroda — **Stanisława Kubik, Elżbieta Żaczek, Anastazja Bogusz, Antonina Kamińska, Józefa Dominiak, Maria Przybyłek, Maria Zaręba, Maria Pawlak.** III nagroda — **Bronisława Pietruszka.**

Za ceramikę — I nagroda — **Jadwiga Grala.** Za plecionkę — wyróżnienia — — **Wojciech Drążczyk, Wojciech Madzio, Stanisław Olejnik, Zofia Budzisz.**

Za kowalstwo — I nagroda — **Władysław Kafel, Stanisław Kuś.** II nagroda — **Józef Dybalski, Janusz Głowiński, Janusz Olejniczka.** Wyróżnienie — **Stefan Chachuła, Wacław Wiśniewski.**

Za tkaninę — I nagroda — **Franciszka Pabiańczyk, Walentyna i Antoni Królasikowie, Maria Plicha, Jadwiga Białokoz, Maria Rosińska, Katarzyna Ośniecka.** II nagroda — **Stanisław Kubik, Władysława Szymczak, Anna Jończyk.** III nagroda — **Józefa Ścieszko, Helena Siwek, Emilia Pisarek, Stanisława Sobolewska, Marcjanna Dura**

27 września br. odbyło się w Piotrkowie Trybunalskim uroczyste wręczenie nagród uczestnikom konkursu literackiego, zorganizowanego z okazji setnej rocznicy urodzin W. I. Lenina pod hasłem: „Przyjaźń, praca, pokój". Na konkurs wpłynęło z całego kraju 300 utworów poetyckich 86 autorów. Jury pod przewodnictwem Leona Gomolickiego pierwszej nagrody nie przyznało, dwie drugie otrzymali: Marian Czepiec i Józef Henryk Wiśniewski, trzecią przyznano Bogdanowi Janowi Balcerowiczowi. Wyróżnienia otrzymali: Tadeusz Chudy, Cyprian Czernik, Zenon Dunajczyk, Robert Gluth, Mirosław Kuźniak, Krystyna Pac-Gajewska i Helena Waligóra.

Organizatorami konkursu były: ZW TPP-R, Wydział Kultury WRN, KKMP „Wiadukt" i Wydawnictwo Łódzkie.

Na uroczystość wręczenia nagród przybył I sekretarz Ambasady ZSRR w Polsce, Wiktor Pagudin. Obecni byli również przedstawiciele KW PZPR i WK ZSL.

Fot. A. Wach

MARIAN CZEPIEC (Kraków)

Niedokończony poemat

bezimiennym budowniczym
Huty im. Lenina

rozkołysał się pejzaż
w pochyłej łodzi świtu
i z otwartej żyły
strumień lawy tryska
i salwą jak z krążownika
wystrzelił kombinat
złotą kulą
ktoś powiedział rozpoczęte igrzyska

i z oparów dymu
ryczące potwory
otwierają paszcze
dinozaury smoki
siedmiogłowe hydry
zieloną ręką zaklęte
wyzwalają siły uśpione w wulkanie
i przez potop ognia
przez deszcz gwiazd strąconych
przez ziemię pękniętą
przez niebo grożące
wydzierają przyrodzie
z chlustem krwi gorącej
ślepe karpie
w stali
w srebrze
w złocie

i stoi las kominów
nie las świetlistych sosen
i płynie rzeka potu
w kamieniach czyjeś głosy
dyszący oddech zmroku
gwiazdy jak krople rosy
a okręt płynie

tu chciałbym oddać
żywe słowa czasu
jak ryby trzepotliwe
w błękitny ocean
wypuszczać z ręki ptaki uwięzione
i nie być ciszą
ale dzwonem
dla was
legiony czarno-białych
imiennych
bezimiennych
nagrodzonych
potępionych
dla was
biczujących mrozy
zbuntowanych
krnąbrnych
prostych jak słowo powszednie
twardych jak górski granit
dla was
sytych i głodnych
odzianych i obdartych
tonących w magmie ziemi
łamiących pręty słońca
słabych i niewiernych
dla was
wierzących do końca
z wiosną w piersiach
z nadzieją
z dłonią odlaną do młota
dla was
dotykających nieba
dotykających błota
chmurnych, jak obłok zmierzchu
porażonych świtami
dla was
dźwigających kolosa
gołymi rękami
będących baśnią
legendą
mitem przebrzmiałych lat
dla was
chciałbym napisać
nierdzewny poemat

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI (Łódź)

Na ręce matki

Ta droga daleka
ciężka od olbrzymiejących nóg
z twojej ręki spękanej
jak z mapy
bierze początek
a za nią tysiące
i tysiące
metrów tkanin
młotek wyklepujący twardą skórę dłoni
strugi łez
przez które skroś lat
jak przez kładkę przeszedłem
ta ręka zaciśnięta
na dźwigni maszyny
i unosząca czule cień
nad moją głową
śniegi uczyły ją ciepła
upały w pocie hartowały
pod tą dłonią jak pod tarczą
— dojrzewałem
ta droga daleka
jakże lekka
gdy porównam
krechy na twych dłoniach
wyboiste
ja który znam obłędne podróże
i obłędny trud
kiedy kładę usta na nich
to jakbym całował
twarde słowo
— robota...

BOGDAN JAN BALCEROWICZ (Rypin)

Co chcą powiedzieć Amerykanie wietnamskim braciom

co chcą mówić
bezzębnymi słowami

co mówią
bełkotem dwudziestego wieku
przerażeniem
Hiroszimy, Nagasaki
Hanoi i Hajfongu

co powiedzieli wtedy
upiornym grzybem
w sierpniowy poranek
gdy ręka przerażona
zwolniła chwytem
mądrość doskonałą

co chcą powiedzieć
dziś
kikutami rozdartych palm
nad ryżowiskiem

my mówimy
twarzą rozdartą przerażeniem
nad spopielonym bratem

ZYGMUNT FIJAS

KARTKI ze wspomnień PERSONALNIKA

Władze naciskały, aby przeprowadzić w naszym mieście kompresję etatów, a także dokonać przeszeregowań, ba... zwolnień. Od wielu miesięcy otrzymywaliśmy przypomnienia w tych sprawach.

— Panie szefie! — powiedziałem. — Mamy dokonać przesunięć, a my co?... Nic i nic.

— To co z tego, że mamy dokonać? Po czym dodał z właściwym sobie lekkoduchostwem: — Góra jest od tego, żeby pisma wysyłała, dół po to, żeby je otrzymywał! Co więcej?

Podałem mu ostatnie pismo.

Przejrzał je, skubnął się w baczek:

— To znam. Co jeszcze?

Podsunąłem mu kilka wycinków z prasy. Jeden artykuł pod tytułem: „Uczniowie odeszli, nauczyciele jeszcze nie" chciałem mu przeczytać. Nie zgodził się. Postanowił przeczytać sam.

Podsunąłem mu drugi artykuł.

— To jest armata cięższego kalibru — rzekł. — Trzeba to przeczytać.

— Już mamy „ale"... — przerwał po chwili czytania. — Jeśli mamy to „ale", to znakiem tego wszystko w porządku. — Nawinął lewy koniec sumiastego wąsa na lewy palec. — Wszystko gra, panie Sękwojs! — rzekł wreszcie. — Komórki działają, rekrutacja też, tylko coś nie klapuje.

— Bo nie klapuje, panie szefie! Dalej zaczyna się tragedia!

— Tragedia?... Zatem nie traćmy czasu!

I zaczął czytać dalej, posiłkując się prawym okiem, bo lewe przymknął.

Kiedy skończył, oparł się jedną ręką o biurko, potężne jak grobowiec lub ponton, i zawołał:

— Uciekają przed nauką jak przed łapanką. To skandal!

— Wielki skandal! — potwierdziłem.

Ten moment uważając za najbardziej stosowny do wszczęcia akcji przeciw Dziuni, utopiłem w twarzy szefa lodowate i — jak mi się zdawało — grobowe spojrzenie, po czym rzekłem:

— Teraz zaczynijmy od siebie. Musi my dokonać przesunięć.

— Jakich przesunięć?

— Trzeba zwolnić Dziunię!

— Sekretarkę Pawelczyk?

— Ją właśnie!

— Może się przesłyszałem. Powiedz pan to jeszcze raz!

— Musimy wymieść Dziunię!

Szef począł skubać frędzle reprezentacyjnej narzuty. Zaścielała ona ogromny stół obok biurka.

Gdy szef przestał skubać frędzle na rzuty, zaczął zamiast nich skubać brwi. Wreszcie odezwał się:

— To bardzo silne powiedzenie: wymieść Dziunię! Czy nie stać pana na nic delikatniejszego?

— Nie mamy czasu, panie Komendera — rzekłem. — Trzeba działać!

— Ale na delikatność wobec kobiety mężczyzna zawsze winien mieć czas.

To niestosowne! Kobieta to jest kobieta.Ten czasownik „wymieść" nie pasuje do naszej konferencji.

— Ja tej rozmowy nie uważam za konferencję — rzekłem. Przyszły pisma, zalecenia prasowe są, radio huczy. Zacznijmy działać!

Szef spoważniał.

— Co pan ma Dziuni do zarzucenia? — zapytał, dziurawiąc mnie sopiem swego spojrzenia.

Odpowiedziałem, co następuje:

— Dziunia, nie dość że popełnia błędy ortograficzne i gramatyczne, a nie raz rzeczowe, to nie chce się uczyć. Jest zdania, że skoro jest przystojna, to jej wystarczy... I nie dość, że nie wyzbywa się swych braków, to obnosi się z nimi. Trzeba dźwigać się wzwyż. Nie — w dół, lecz — wzwyż! panie Komendera!

— Po co te dodatkowe słowa? Jeśli coś dźwigamy, to zawsze do góry! Nie w dół.

— A więc dźwigać się — ciągnąłem dalej, jakbym nie słyszał jego słów. A przechwalać się lub szantażować nie uctwem nie uchodzi!... Ale jeśli ona, ta prukwa, uważa się za przystojną, to nic mnie to nie obchodzi. Ani mnie ziębi, ani grzeje, czy ona ma rączki maleńkie, czy takie graby jak podolski złodziej.

— Grube to słowa: wymieść, prukwa, podolski złodziej, graby... Ale, jak mi się wydaje, otrzymaliśmy zalecenia typu klamrowego. Rzeczą góry wydawać je, rzeczą zaś dołu przystosowywać je do specjalności terenu. Na tym polega współgranie dołu z górą. Niestety, nie możemy Dziuni skrzywdzić — tu szef zaczął skubać baczki.

DALSZY CIĄG NASTĄPI

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Boso, ale w ostrogach

Książki Stanisława Grzesiuka, szczególnie „Boso, ale w ostrogach" i „Na marginesie życia" spotykały się niejednokrotnie z kontrowersyjnymi ocenami. Są to utwory pisane z niewątpliwym talentem i nerwem, a tak zwana „prawda życiowa" i dynamika narracyjna sprawiają, że szerokie masy czytelników, poszukujących przede wszystkim atrakcyjnej fabuły, chętnie biorą powieści Grzesiuka do ręki. O poczytności obu książek świadczą wysokie nakłady i wznowienia. Spotykamy się więc tutaj z przykładowym dowodem prawdy na masowe zapotrzebowanie na bohatera powieściowego, który u Grzesiuka nie może być nazwany, niestety, bohaterem pozytywnym, lecz wręcz przeciwnie — negatywnym, a na domiar (z powodu wysokich umiejętności pisarskich autora) oddziaływającym szkodliwie na wyobraźnię czytelników.

Sprawa przedstawia się o tyle poważniej, że Grzesiuk trafił z mistrzowską celnością w newralgiczne miejsce naszego życia społecznego, a więc — w „cwaniactwo" (które po okupacji i stałej walce ekonomicznej z hitlerowcami przerodziło się w groźne w skutkach nadużycia gospodarcze na mniejszą i wielką skalę w naszym państwie ludowym), we wzrastający zastraszająco alkoholizm i w nie mniej groźną znieczulicę, a nawet rzewną pobłażliwość lub niekiedy podziw dla pijaków i dla wymigujących się od rzetelnego wykonania obowiązku markierantów, dekowników itp. „Dwa tygodnie dobiegały końca. Cały czas lawirowałem tak, żeby nie chodzić na żadne ćwiczenia (przysposobienia wojskowego, — dopisek mój), i udawało mi się" („Boso, ale w ostrogach"). „A jak ty sobie radzisz"? — pyta narrator. „Tak jak zawsze — kradnę. Przed wojną byłem złodziejem, to nie wiem dlaczego miałbym zmieniać zawód, tym bardziej, że teraz mam kogo obrabiać. Obrabiam Niemców, nieczynne fabryki i mieszkania, których właściciele uciekli za granicę" (str. 195 w „Boso"). Nie żałuję, bynajmniej, Niemców (chociaż bardziej celowy wydawał mi się inny rodzaj walki z hitleryzmem), ale co do fabryk, które w przyszłości miały wejść w skład majątku narodowego, i co do mieszkań ludzi (niekoniecznie — z sanacji), którzy na wezwanie prezydenta Warszawy Starzyńskiego opuszczali stolicę i trafiali na zaleszczycką szosę, zacytowane zdanie jest nie do przyjęcia. A trudno chyba zaprzeczyć, że aprobowane przez szerokie masy czytelników (którzy na ogół utożsamiają się z bohaterami powieści i entuzjazmują się ich udanymi „akcjami") postawy życiowe prezentowane przez Grzesiuka nie są chwalebnym wzorem postępowania. Podobnie rzecz się ma z powieścią „Na marginesie życia", będącą zapisem pobytów Grzesiuka w sanatoriach przeciwgruźliczych, w której lekceważenie przez pacjentów terapii zalecanej przez lekarzy, urąganie elementarnym przepisom regulaminów sanatoryjnych, „wycieczki" na wódkę, palenie papierosów itp. urastają w wyobraźni bezkrytycznych czytelników (a takich jeszcze, niestety, posiadamy wielu!) do rangi porywających wyczynów, a co najmniej — do kawałów, przyjmowanych z pobłażaniem. Ale czy potencjalni kuracjusze, którzy przeczytali „Na marginesie życia", a potem znaleźli się, nie daj Boże, w analogicznych warunkach, nie zechcą naśladować zaprezentowanych atrakcyjnie i z dużym talentem wzorów! We wspomnieniu — przedmowie do tej powieści czytamy: „Człowiek „z dołów" drogo płacił za zdobywanie kultury — a oto głupcy, którzy otrzymali ją za darmo, chcą wyrzucać te zdobycze przez okno". To zdanie prosi się o to, żeby je strawestować: „Państwo ludowe ponosi wysokie koszty na bezpłatne lecznictwo otwarte i zamknięte, a lekkomyślni czytelnicy „Na marginesie życia" w spotkaniu z chorobą będą z brawurą powielać atrakcyjne wzory zapisane przez utalentowanego pisarza i utrwalone w ich pamięci". Na zakończenie tych zastrzeżeń muszę dodać, że w żadnym razie nie można się zgodzić z poglądem autora artykułu w programie teatralnym, że hece alfonsów, nożowników i złodziejaszków były buntem przeciwko „niesprawiedliwości społecznej". Proletariat walczył przeciwko krzywdzącemu porządkowi społecznemu za pomocą innych sposobów, nie używając noży sprężynowych, które służyły ludziom z marginesu społecznego jako narzędzia do załatwiania porachunków osobistych lub rozbójniczych napadów.

Byłoby, oczywiście, niesprawiedliwością — nie doceniać hartu osobistego i heroizmu autora, ale trzeba sobie powiedzieć, że przy takim „pomieszaniu materii" złego i dobrego, jakie panuje w jego utworach, tylko wytrawny czytelnik odzieli rozsądnie ziarna on nieobyczajnej plewy. Powstaje zatem pytanie, czy takie wzory „bohaterstwa" ze sprężynowymi nożami w kieszeniach, „wycieczkami" z sanatorium na „ćwiartuchnę" itp. nie są w naszych polskich warunkach społecznie szkodliwe i czy rozpowszechnianie ich w wielotysięcznych nakładach mieści się w pojęciu polityki kulturalnej państwa ludowego?

Należy poczytać za zasługę **Ryszardowi Pietruskiemu i Krystynie Wodnickiej**, autorom libretta, że w znacznym stopniu stuszowali obrazy rozpraw nożowniczych i eliminowali sceny kradzieży i pijatyk, które w powieści dominują nad wysiłkami Staszka obalającego z uporem przeszkody do awansu społecznego i stopniowo odsuwającego się od „ferajny". Przypuszczam, że niemała w tym również zasługa inscenizatora i reżysera. Dzieło sceniczne **Romana Sykały** samo w sobie wymagałoby szerokiej analizy. Nieczęsto oglądamy na scenach łódzkich widowiska tak zwarte, a zarazem potoczyste, w których obraz za obrazem następuje niemal z naturalną konsekwencją i artystyczną koniecznością. Koncepcja reżysera zbiegła się z zamysłem **Barbary Fijewskiej**, której choreografia, efektowna a oszczędna, dobrze wyrażała to, co się mogło dziać na Czerniakowie. Również muzyka **Jana Tomaszewskiego**, dynamiczna, bez nadmiaru nastrojowości, dobrze akcentowała rytm i wybuchowość perypetii życiowych mieszkańców dzielnicy sąsiadującej z Powiślem. Natomiast nasuwa się wątpliwość co do scenografii. Naturalistyczne dekoracje przypominały bardziej jakieś dacze i drewniaki w podrzędnej miejscowości letniskowej niż ponure czynszówki Czerniakowa. Wreszcie, strona aktorska! Wszyscy wykonawcy przeszli — jak to się mówi — samych siebie, wszyscy potrafili utrzymać widzów w napięciu od początku do końca. Powinienem właściwie przepisać całą obsadę, żeby nikogo nie skrzywdzić. Nie zrobię tego, lecz pozwolę sobie ulec sympatiom, jakie szczególnie łączą mnie (jednostronnie!) z aktorami Teatru Powszechnego. A więc, zawsze niezawodny, tym razem arcyzabawny i pełen serdecznego ciepła **Czesław Przybyła** w roli pijaczyny. Świetna i bez szarży w roli przedwojennej stróżki (tak się wtedy mówiło, nie „dozorczyni" — jak w programie) **Jadwiga Anrzejewska**, która z nieporównanym, pogardliwym lekceważeniem wymachiwała miotłą pod nosami granatowych policjantów. Porywczego, a przecież rozsądnego, gdy trzeba, Staszka grał z przekonaniem i zapałem **Michał Szewczyk**. Z umiarem, i może przez to właśnie — bardzo sugestywnie **Władysław Skoczylas** przekazał dramat Ojca. Melodramatycznie, bo tylko ten styl był właściwy dla roli córy Koryntu zagrała rolę Feli — **Halina Pawłowicz** (nawiasem, w tym musicalu jest wiele z melodramatu). Groźny w każdym geście i niedbałych pozornie minach był przywódca bandy **Janusz Kubicki**. Również pełen wewnętrznego dynamizmu był **Jerzy Szpunar** w roli nożownika, zawsze gotowego do użycia sprężynowca. Jako „element" pojednawczy i łagodzący spory wystąpił w roli majstra **Jerzy Przybylski**. Bardziej zakłopotani powierzoną im władzą niż przekonani o możliwościach wyegzekwowania jej, reprezentowali granatowych policjantów **Tadeusz Sabara i Marian Wojtczak**. Dowcip nie zbudował swoją rolę **Zbigniew Niewczas** jako ten, co skarży się na zanik pamięci w obawie przed opryszkiem, który mu „zasunął" nóż.

Obawiam się, że ten świetnie wyreżyserowany musical zablokuje repertuar Teatru Powszechnego dłużej niż na pół roku.

ANDRZEJ GRUN

Malarz podróżujący

1

Liczne podróże po Europie i Azji przybliżyły wychowankowi Strzemińskiego, Fibischa i Marczyńskiego w równym stopniu kulturę klasyczną, co twórczość narodów egzotycznych. Zetknięcie z klimatem kulturalnym, przyrodą i ludźmi dalekiego Wschodu nie mogło pozostać bez wpływu na twórczość Strumiłły. Wielość tych podróży i mnogość doznanych wrażeń wpłynęły wyraźnie na sposób obrazowania. Konieczność pośpiesznego notowania tego wszystkiego co ujrzały oczy, usłyszało ucho, pojął umysł, dało w efekcie tę charakterystyczną dla Strumiłły reportażowość obrazu. Tu także należy szukać powodów sięgnięcia po aparat fotograficzny. Zdjęcie stało się dla artysty zarówno dokumentem utrwalającym sytuację, moment w pejzażu, człowieka, jak i jednym z elementów kolekcji środków wyrazowych. Strumiłło wzorem innych malarzy (m. in. nadrealistów) poszerzył swój warsztat o element fotograficzny. Na użycie aparatu fotograficznego wpłynął także stosunek Strumiłły do przedmiotu. Do przedmiotu samego w sobie — jako sumy formy i funkcji, jak i do przypisanej mu legendy. Ten stosunek jest na wskroś emocjonalny, a wynika z leżącej w naturze artysty potrzeby konkretu. Przez takie odczuwanie przedmiotu, przez odczytywanie go w coraz to nowych kontekstach zbliża się Strumiłło do surrealistów i jednocześnie do klasyków pop-artu.

2

Momentem istotnym w zrozumieniu twórczości A. Strumiłły jest fakt jego wyjścia z malarstwa i jego do malarstwa powroty. Mam tu na myśli rolę służebną innych dyscyplin uprawianych przez niego na rzecz obrazu. Sama koncepcja i końcowa jej realizacja rozpatrywane są przez artystę w kategoriach malarskich. Cała droga, która prowadzi poprzez inne techniki do ostatecznego urzeczywistnienia zamysłu — to sumowanie doświadczeń, dyskutowanie koncepcji i wybór ostateczny najtrafniejszego rozwiązania. Takie postępowanie nie oznacza wcale w wypadku Strumiłły rezygnacji z artystycznych ambicji w dziedzinach pozamalarskich. Ścisła spójnia między gatunkami, które uprawia, nieustanna wymienność środków warsztatowych, które stosuje (wprowadzając grafikę i fotos do malarstwa, malarstwo do grafiki itd.) wreszcie odrębność koncepcji formalnych wyprowadzonych z klasyki, z kultur orientalnych i nowoczesności, a także specyficzny sposób tworzenia i inspirowania swoich dzieł — skutecznie bronią jego twórczość przed kokietującą ekwilibrystyką. Refleksyjność zaś — skutek umiejętnej obserwacji i upodobania do analizy wzbogaca dodatkowo sztukę Strumiłły o wartości humanistyczne i poznawcze.

3

Tematem sztuki Strumiłły jest człowiek. Jeśli Strumiłło kreuje pejzaż — to w odniesieniu do człowieka. Mimo oczywistych oscylacji w kierunku wschodnich sposobów obrazowania, „człowiek Leonarda wpisany w koło" leży niezmiennie u podstaw artystycznego działania Strumiłły. Forma inspirowania — podróż, która jest przecież ciągłym odchodzeniem — zmusza do zapisu ludzkich twarzy, sytuacji, miejsc związanych z takim, czy innym doznaniem. I właśnie owe podróże po obszarach tak zagęszczonych w klimacie jak Italia, Grecja i Wschód wykluczyły z twórczości Strumiłły abstrakcję, bezprzedmiotowość, formalną dywagację. Skierowały w kierunku figuratywnej relacji świata; wyzwoliły ciągłą potrzebę konkretu. Dokonały jeszcze innej rzeczy. Napisze Strumiłło: „Z wyjazdów swoich przywiozłem dużo rysunków, fotografii i kłopotliwe poczucie względności". Owo pokorne wyznanie artysty jest niezastąpionym komentarzem do jego sztuki. Przebogata wielość świata z jaką się stykał nauczyła go cierpliwości i rezerwy. Dystansu i potrzeby syntezy. Wpoiła też przekonanie, że „studnie na całym świecie są do siebie podobne. Służą do czerpania wody. A czy są w stylu Ming czy stylu barokowym... Więc o zaspokojenie pragnienia chodzi, nie o ozdobę studni". O zaspokojenie pragnienia nie o ozdobę chodzi... Dlatego właśnie Strumiłło swoje obrazy osadza w ramach łatwo wykrywalnych i sprawdzalnych idei. Warunkuje swoją twórczość psychologicznym, a często i społecznym zaangażowaniem.

4

Pisarze, dziennikarze jeździli do Wietnamu aby dać głos prawdzie. Pojechał tam też malarz, Andrzej Strumiłło. Jedyny chyba malarz, który pojechał tam w tym samym celu co owi ludzie pióra.

Jeżeli historycy mają w ogóle prawo rościć sobie pretensje do jakiejś wyłączności, to na pewno już nie do myślenia o przeszłości. Mogą to nam mieć za złe, ale przyznajmy, że tak się już od wieków plecie, iż większość istotnych, dopraw dy historycznych poglądów zdążyli już przed nimi powiedzieć inni — politycy, pisarze czy publicyści — którym nawet przez chwilę nie przyszło do głowy wyczekiwać, aż urodzą się foliały dziejopisów. Nic tedy w tym dziwnego, że profan wciąż może się pytać, czemu ów co się dumnie historykiem mieni pracę swą sprowadza jakże często do... uzasadniania zdań już przez kogoś powiedzianych.

Niehistorycy też wzięli się najpierw na bojowanie z błędami niedawnej przeszłości. Zarówno wtedy w 1956, jak i dziś, kiedy ponownie odczytujemy spory i kontrowersje z tamtych, wszak już także minionych lat. Ale skoro w gruzach legły już posady **terroretyków** (nazwy tej wynalazkiem, nie rzeczy, chlubi się autor „Dla każdego coś przykrego"), czemu nie otrzeć się czasem o to, czego tknięcie byłoby niegdyś co najmniej usiłowaniem obalenia ustroju, jeżeli nie czymś jeszcze gorszym? Odwagi do tego dziś nie trzeba zbyt wiele, więc i zdobyła się na nią redakcja ilustrowanego organu pana Machlarka, **ogłaszając w dwóch kolejnych numerach tasiemcowy** pasztet pod drapieżnym tytułem „Kryzys w literaturze polskiej".

Jego autor nie jest zbyt oryginalny. Rozwija heretyckie niegdyś myśli wypowiedziane na kartach wspomnianej już książeczki, z których dawno już przecie zdjęto klątwę. Co więcej — niejako je sakryfikowano, a ponieważ w ostatnich czasach zrobiło to już wielu, więc nie mogło zabraknąć i głosu eseisty. Tylko w jednym — na pewno — nie zapożyczył się on od autora przytoczonej książki: pod względem języka. Ten, którym się eseista posłużył, ma w niej swe zgoła niepochlebne miano. Czy jednak nie jest to zabieg celowy?

Autor przewiduje, że „posypią się na jego głowę różne skrajne płody przedstawionego właśnie (przezeń) życia umysłowego". Może i tak będzie. Czyżby jednak nie przewidział, że i ktoś inny będzie się zastanawiał nad jego intencjami? Że zada sobie pytanie, czy jego wystąpienie to — używając jego własnego języka — nie taka sama decyzja którą krytykował u innych, krok mieszczańskiego inteligenta zachowującego dotąd postawę spektakularną wobec dziejowego procesu i włączającego się doń wtedy, gdy skonstatował i upewnił się, że pochód to i silny i liczny? Że ktoś zastanowi się, czy autor nie napisał tego artykułu li po to tylko, by się pod nim p o d p i s a ć, a przez to odciąć się od jakże mu obcego (obecnie) intelektualnego światka?

Autor wziął na cel problem społecznej genealogii środowiska, które zrodziło ową doktrynalizację intelektu z lat pięćdziesiątych a później tak pośpiesznie od niej uciekało. Cały ten skomplikowany proces wywodzi ze spektakularnej w stosunku do dziejowego procesu postawy mieszczańskiego inteligenta, który nie będąc współtwórcą dziejów „wychylał się z okna historii" wyczekując momentu, kiedy będzie dogodne włączyć się do pochodu. Skoro własne indywidualne odkrycie zostało przez te kręgi utożsamione z odkryciem świata w ogóle, podjęto trud „likwidacji niemal całej prawdziwej, z autentycznych losów społecznych i umysłowych tego kraju wyrastającej, radykalnej tradycji historycznej". Bo przecież przed nimi nic radykalnego, a nie daj Boże socjalistycznego w tym kraju być nie mogło: Brzozowski musiał się okazać prefaszystą, I. Fik czy S. Baczyński po prostu... nie istnieli. Cały wielki obszar dziejów narodu został doszczętnie skarykaturowany. „Ta przeprowadzona z poczuciem bezwzględnej pewności i nie licząca się z żadnymi realiami rzeźnicka operacja na naszej historycznej przeszłości nie tylko przerodziła te dzieje w pewien bolesny absurd ustawicznego niedorastania do zewnętrznego, gotowego schematu sporządzonego przez umysł kontemplujący swą centralną pozycję, nie tylko wyznaczyła w tej historii eksponowane miejsce niejasnej w końcu postaci Jakuba Szeli (wyrżnął szlachtę — mieszczańskie kompleksy przetrwały widać dzieje szlachty), ale unicestwiła też historyczną świadomość społeczeństwa, które nie mogło w żaden sposób odnaleźć w karykaturze swej przeszłości — tej d z i e j o w e j k o n i e c z n o ś c i, wpisanej w dwa wieki historii od Konstytucji 3 Maja i Uniwersału Polanieckiego począwszy a na wojennym programie niepodległościowym Polskiej Partii Robotniczej skończywszy; jaką było dzieło przerodzenia Rzeczypospolitej w L u d o w ą właśnie, głęboko w tę historię wpisane". Pod **diagnozą owej operacji** się podpisujemy — tak jakeśmy się podpisywali i wówczas, kiedy nie wszyscy to jeszcze czynili. Ale diagnozy jej **skutków** nie akceptujemy. To tylko złudzenie naszego autora, że terroretycy mieli moc magiczną rzeczywiście skutecznego manipulowania świadomością społeczeństwa.

Przecenia ich, podobnie jak czynili to oni sami. Typowe inteligenckie złudzenie. Rzeźnicka operacja bynajmniej nie unicestwiła świadomości historycznej narodu. Nastąpił nie kryzys historycznej świadomości narodu — ale kryzys społecznego zaufania do historii, który wyrażał się w przekonaniu — jak to kiedyś zauważył Władysław Kopaliński — „że historia to coś, co się nigdy nie zdarzyło, opisane przez kogoś, kogo przy tym nie było".

JÓZEF GRZELAK

LUDZIE XXV-lecia

Tadeusz Różewicz

Na twórczości Różewicza zaciążył okupacyjny dramat. Oto osobowość ukształtowana w określonych warunkach znalazła się nagle w innym układzie odniesienia, gdy przyszła wojna. Człowiek okazał się istotą inną niż mogliby przypuszczać najśmielsi sceptycy.
To właśnie wywołało protest poety, protest w imię absolutu. Tadeusz Różewicz jest bowiem przede wszystkim moralistą, a pozorny cynizm służy tylko silniejszej ekspresji buntu w imię nadziei, nadziei na ocalenie w człowieku tego, co jednak zostało w nim szlachetne.

Ta postawa poety została wyeksponowana już w tytule pierwszego tomu jego wierszy, wydanego w 1947 roku. Na „Niepokój" złożyły się wiersze, w których poeta ukazuje nam straszliwe obrazy z czasów wojny, obrazy bez komentarza, porażające samą tylko wizją minionego czasu: „Matka powieszonych", „Dola" i tym podobne. Dramatyzm ich głęboko ukryty pod pozornie statycznym opisem — poraża, zmusza czytelnika do refleksji. Obok nich znajdziemy jednak wiersze, w których poeta zdobywa się na wyraźną refleksję. Dopiero zestawienie tych utworów obok siebie daje swoistą całość, ukazuje nam w pełni bohatera lirycznego.

Poeta pomny doświadczeń, jakie wyniósł z wojny rozprawia się z mitologią, występuje przeciw mitom doświadczenia moralnego minionego czasu, ale buntuje się także przeciw nihilizmowi, gdy mówi:

„...Szukam nauczyciela i mistrza
niech przywróci mi wzrok, słuch i
mowę
niech jeszcze raz nazwie rzeczy i
pojęcia
niech oddzieli światło od ciemności.
Mam dwadzieścia cztery lata
ocalałem
prowadzony na rzeź".

Czy poeta znajdzie w przyszłości owego „nauczyciela i mistrza"? Nauczycielem jego jest rzeczywistość, która w miarę jak przynosi nowe doświadczenia poecie, budzi w nim narastający protest. Boć przecież ludzkość nie potrafi wyzwolić się od barbarzyństwa wojen, gwałtu, przemocy. Bunt poety zarysowany jest tym silniej, że jego poezja nigdy nie broniła się przed rzeczywistością i przekazywała nam jej wizję przy pomocy środków sensualnie sprawdzalnych.

Tadeusz Różewicz jest nowatorem w poezji. Sam przyznawał się do dziedzictwa awangardowego. Niewątpliwie skorzystał z doświadczeń awangardy, lecz poszedł w zupełnie innym kierunku, szukał form bardziej adekwatnych dla swojej wypowiedzi poetyckiej. Poetyka awangardy nie pozwoliłaby jego wierszom udźwignąć takiego ładunku informacji poetyckiej jaki nam przekazuje. Należy koniecznie przypomnieć, że właśnie Różewicz wygrał batalię z rzecznikami paseizmu w naszej poezji, walki którą rozpoczęli inni. Po okresie jałowości, po latach administrowania sztuką młodzi poeci połowy lat pięćdziesiątych odwołali się do jego doświadczenia poetyckiego. Ślady tego procesu można zaobserwować i dzisiaj.

W drugim tomie wierszy, wydanym w 1948 roku, poeta kontynuuje rozrachunek z przeszłością, z samym sobą, ze światem w którym upłynęło jego dzieciństwo. Charakterystyczny w tym aspekcie wydaje się być wiersz zatytułowany „Powrót".

Znajdujemy tu coraz silniejsze akcenty antymieszczańskiego buntu, także buntu przeciw jałowości życia człowieczego. I tutaj częściej do głosu dochodzi w poezji autora groteska. Już nie ta koszmarna, przekazująca nam grozę wojny, lecz ta deformująca, obnażająca w karykaturalnym rysunku to, co jest ukryte pod powierzchnią życia. W wierszach tych znajdujemy silniejsze związki z bieżącymi wydarzeniami.

Podczas gdy w pierwszych tomach Różewicz jest zrozpaczonym humanistą, przekazującym okrutne doświadczenia wojenne, w następnych przechodzi niejako ponad tymi doświadczeniami i podejmuje próby pogodzenia ze światem. Pogodzenie niewątpliwie szczere wynika z wiary w możliwość odbudowania zniszczonego wnętrza człowieczego. Niestety, wiąże się to z wiarą opartą na fałszywych przesłankach przyjętych na wyrost. Wynikało to jednak z ogólniejszych założeń i nacisku jakiego dokonywano wobec poetów w końcu lat czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych. Nasz autor nie uległ na szczęście stadnemu pędowi do krainy arkadyjskich optymistycznych sielanek. Ciągłe nawroty pamięci do lat wojny, ciągłe zagrożenie człowieka i człowieczeństwa nie były mu obojętne i to pozwoliło mu ocalić w poezji siebie, Należy także podkreślić, że poeta nie dał się uwiklać w konformizm także dlatego, że nie zrezygnował z wypracowanych przez siebie form wypowiedzi poetyckiej i z charakterystycznego dla jego wypowiedzi reizmu tamtych wierszy.

Gwałtowny zwrot przyszedł w tomie „Poemat otwarty". Teraz następuje rozrachunek moralny z tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich lat. Poeta jest bezwzględny, atakuje z pasją, nie oszczędza również siebie. Podejmuje problemy, które niesie życie, ale ma już teraz inny ogląd świata. Może wreszcie powiedzieć, że zmiana warunków społecznych w jakich żyje człowiek, nie powoduje automatycznie przemiany zjadacza chleba w anioła. Znika więc bezpowrotnie optymizm, tani optymizm, jaki cechował niektóre wiersze Różewicza z poprzednich tomów. Zmieniają się też środki ekspresji poetyckiej. Znów częściej znajdujemy w jego wierszach metaforę. Poeta używa jej oszczędnie i w sposób funkcjonalny, tam tylko, gdzie jest ona bardziej nośna, niż werystyczne kawałki prozy ułożone w odpowiedni ciąg asocjacyjny. Tu i ówdzie znajdziemy w wierszach tego tomu także nadrealistyczne obrazy podporządkowane wizji poetyckiej.

Silne akcenty polemiczne obserwujemy w wierszu „Kryształowe wnętrze brudnego człowieka". Wiersz, nie pozbawiony elementów osobistych, jest polemiką o charakterze bardziej ogólnym z przeszłością. Poeta znów się buntuje, walczy, nie pozostaje obojętny wobec zanegowania najwyższych wartości. Najsilniej wyraża to w wierszu „W środku życia".

Twórczość poetycka Tadeusza Różewicza nie jest monolitem w sensie dochowania wierności raz wypracowanym formom poetyckiej wypowiedzi. Forma jest dla niego czymś drugorzędnym. Próbował różnych środków ekspresji, niekiedy zmieniały się one z roku na rok. Nie ulegajmy wielokrotnie powtarzanym sugestiom samego ich autora, ot choćby tej zawartej w tytułowym wierszu tomu „Formy". Poeta bowiem w tym właśnie tomie odchodzi od charakterystycznej dla siebie prostoty wypowiedzi. Eksperymentuje. Ślady tego procesu widoczne są zarówno w cyklu „Formy", jak i w „Spojrzeniach". „Spojrzenia", to cykl próz poetyckich, gdzie Różewicz osiąga pełnię groteskowego oglądu świata, w którym znakomicie posługuje się chwytami nadrealistycznymi i nawiązuje do tradycji ekspresjonistycznych. Osiąga świetne rezultaty, pokazuje nam nie ujawnione dotychczas możliwości ekspresji poetyckiej.

Odżegnywanie się od formy to obsesja Tadeusza Różewicza. Pojawiła się dość wcześnie w niektórych autotematycznych tekstach poetyckich. W kilka lat później przeczytaliśmy jego znamienne oświadczenie, że nie jest poetą. Ileż nieporozumień nagromadziło się wokół tego. Ci, którzy nie dotarli do sedna rzeczy, gotowi byli zarzucać mu kokieterię, gdy w jakiś czas po opublikowaniu wspomnianego oświadczenia poeta wydrukował nowe wiersze. Wydaje się, że istotny sens tego oświadczenia tkwi w tym, iż poeta odżegnuje się od owego „poetyzowania", które polega na mnożeniu form poetyckich, na „pisaniu jeszcze jednego wierszyka". Dla niego bowiem pisanie jest sprawą moralną, wybór form jest nieistotny.

Począwszy od tomu „Rozmowa z księciem" poeta odwołuje się do doświadczeń kulturowych ludzkości, do mitologii, do doświadczeń współczesnego człowieka — przeprowadza konfrontacje. Teraz — z lektury „Głosu anonima", „Twarzy" i innych tomów wydanych na przestrzeni ostatnich lat wynika jasno w imię czego poeta buntuje się. Nie jest to bunt jałowy, polemika literacka, poza. Oto odwiecznie w imię postępu dokonywano barbarzyństwa. Obserwowaliśmy na przestrzeni wieków postępy cywilizacji, doskonalenie się form kulturowych. Odziedziczyliśmy w spadku wspaniałe dzieła sztuki, świetlane idee, lecz pochód barbarzyństwa nie został zatrzymany.

W roku 1955 ukazała się cienka książeczka pt. „Opadły liście z drzew". Zawiera ona opowiadania wojenne, ukazuje niewielki wycinek naszego życia z okresu okupacji. Tom ten stanowi jednak zupełnie odrębną pozycję w twórczości Tadeusza Różewicza. Opowiadania są proste, bezpretensjonalne, ich bohaterami są młodzi ludzie związani z podziemiem. Autor w oszczędny sposób przekazał nam ich doświadczenia wojenne. W tych krótkich opowiadaniach, szkicach właściwie zostało odbite całe okrucieństwo czasu. Na doświadczenie tych ludzi złożyło się nie tylko zło, które przyniosła wojna, ale i zło tkwiące w nich, w ich strachu. Zło, za którym kryje się jedno tylko: chęć ocalenia za wszelką cenę, przetrwania.

Z oszczędnego rysunku postaci, zderzenia znaczących faktów widać doskonale, że autorem tekstów jest poeta.

Podobnie rzecz ma się z innym, wydanym w 1960 roku tomem opowiadań noszącym tytuł „Przerwany egzamin". Tu także można zaobserwować charakterystyczną dla autora oszczędność rysunku postaci i graniczące z groteską zderzanie faktów. Opowiadania te mają jednak inny charakter, niż tamte z pierwszego tomu.

Proza ta ściśle splata się z tym co nam zaprezentował autor jako poeta, wszak i w poezji mogliśmy znaleźć te same postulaty. Jednak dopiero zestawienie tych opowiadań i wierszy pozwala pełniej ujrzeć rysunek losu współczesnego człowieka, jaki nam poeta prezentuje. Zestawienie tych wypowiedzi zapisanych na różne sposoby wierszem jak i prozą stanowi całość, stanowi jedność tego co autor stworzył.

Na gruncie utworów scenicznych autor znów obsesyjnie wraca do „swojej" problematyki. Oto bohater „Naszej małej stabilizacji" pragnie za wszelką cenę odwrócić się od przeszłości, przejść do porządku dziennego nad własną historią. Cóż więc zostanie mu, by określić sens jego istnienia? Mdłe, podłe — mieszczańskie bytowanie polegające na odłożeniu czegoś, dokupieniu czegoś, na koltuńskim spokoju i obojętności wobec losu drugiego człowieka, wobec losów zbiorowości. Jego bytowanie staje się więc czekaniem na śmierć. Tutaj znów środki wyrazu podporządkowane są celowości wizji, bełkot frazeologiczny bohatera pokazuje zbrodniczość postawy, podkreśla ją. Człowiek nie może być obojętny wobec losu drugiego człowieka.

W „Kartotece" autor sięga do źródeł postawy Bohatera, obnaża go w całym jego jestestwie niejako od kołyski, ukazuje co składa się na jałowość życia Bohatera. Bohater nie jest jedną postacią, stanowi syntezę, jest wcieleniem wielu postaci uformowanych przez naszą cywilizację. Autor rysuje tę postać groteskowo, czyni zeń postać absurdalną. Jednakże teatr Różewicza nie jest teatrem absurdu, jest teatrem zbuntowanym, nie zgadzającym się na rzeczywistość, której Bohater jest produktem.

Świat dramatów Różewicza ukazuje nam zagrożenie, ale zagrożenie to dokonuje się nie w świecie poza nami, ono tkwi w nas samych, w naszej chęci oderwania się od własnego doświadczenia, własnej historii. Oto sens jego twórczości.

Twórczość Tadeusza Różewicza, jego wiersze, dramaty, proza, jest nowatorska nie w sensie eksploracji nowych terytoriów formy. Bunt przeciw ograniczeniom estetycznym jest u niego nowatorski, bunt dokonywany w imię ocalenia wartości najwyższych.

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Jan Toorop — Drzeworyt 1895

Zewsząd o wszystkim

Niebezpieczny sojusznik człowieka

„TIME" — NOWY JORK

Niewiele środków chemicznych, stworzonych przez człowieka ma tak szerokie zastosowanie w praktyce i cieszy się takim uznaniem w świecie, jak dwuchlorodwufenylotrójchloroetan, znany powszechnie jako DDT. Nie ma on sobie równych w walce z pasożytami — roznosicielami takich groźnych chorób epidemicznych jak tyfus plamisty, zapalenie mózgu, a szczególnie malaria. DDT uchronił miliony ludzi od śmierci na malarię, niszcząc komary, które przenoszą zarazki tej groźnej choroby. W ostatnim dwudziestoleciu wpłynął na podwojenie zbiorów bawełny z amerykańskich plantacji, tępiąc bardzo skutecznie ryjkowca. Nawet Szwedzi, którzy wprowadzili ostatnio zakaz używania DDT, przyznają, iż nie ma on sobie równych. To właśnie Szwedzi przyznali w roku 1948 nagrodę Nobla w dziedzinie chemii szwajcarskiemu chemikowi Paulowi Muellerowi za wynalezienie owego „cudownego" proszku.

Dziś, większość uczonych i specjalistów dochodzi do wniosku, iż „cud" Muellera przynosi więcej szkód niż pożytku. Po wytępieniu owadów nie ustaje bowiem trujące działanie DDT. Deszcze zmywają proszek z liści drzew i, spływając do rzek, zanieczyszczają wody, zaś prądy powietrzne przenoszą go nawet na duże odległości. Naukowcy obliczyli, iż z półtorą miliona ton DDT, które do dnia dzisiejszego rozpylono na świecie, dwie trzecie „pozostawiono na łasce przypadku".

DDT wykryto w każdym żywym organizmie, żyjącym w wodzie, jak również w organizmie niemal każdego zwierzęcia. Co więcej, wykryto go w mleku karmiących matek, a jego ilość jest dwa—trzy razy większa od maksymalnie dopuszczalnej normy! Wszystko to budzi ogromne zaniepokojenie. W stanie Arizona zabroniono rozpylania DDT. Nie wolno go używać również w stanie Michigan, gdzie stwierdzono niedopuszczalnie wysoką zawartość DDT w jeziorze Michigan oraz zatrucie znacznej ilości łowionych w nim łososi. Kwestię obowiązkowej kontroli przy stosowaniu DDT rozważa się obecnie w stanach: Massachusetts, Nowy Jork i Wisconsin.

Europejczycy podjęli bardziej radykalne decyzje. Od czasu, jak w połowach śledzi wykryto szkodliwe dla ludzi związki chemiczne, Szwedzi zaprzestali używania DDT i jemu podobnych na okres dwóch lat. Holandia i Dania wprowadziły ostre zakazy rozpylania DDT. Francuzi i Anglicy kontrolują w swych krajach bardzo dokładnie zakres używania chemicznych środków owadobójczych. Również zaniepokojeni Rosjanie, zaproponowali Szwedom wspólne oczyszczenie Bałtyku z „trujących substancji". Nie jest to zadanie proste, biorąc pod uwagę wyjątkową trwałość i aktywność tego preparatu.

DDT nie rozpuszcza się w wodzie, przeto stosowany przez wiele lat nagromadził się w dużych ilościach w rzekach, jeziorach i w morzach. Zachowuje pięćdziesiąt procent swych trujących właściwości dziesiątki lat od momentu rozpylenia.

DDT ujemnie wpływa na cykl reprodukcji. Chociaż dojrzałej rybie nie szkodzi nawet stosunkowo wysoki stopień koncentracji DDT w wodzie, to jednak jej zarodniki giną w tych samych warunkach niemal natychmiast. U ptaków DDT wpływa negatywnie na rozwój jajek. Mechanizm tego procesu nie jest jeszcze dokładnie znany. Przypuszcza się, iż trucizna wywiera szkodliwe działanie na wątrobę samicy, wątroba z kolei wytwarza zbyt mało, m. in. estrogenów, niezbędnych do wytwarzania wapnia. Na skutek tego skorupki jajek są słojowate i zbyt cienkie, by mogły skutecznie chronić zarodek. Według ekologa Josepha z Hickey'a z uniwersytetu w Wisconsin, DDT wywiera zgubny wpływ na cały proces rozwoju ptaków.

Za niebezpieczeństwem wyniszczenia ryb i ptaków, kryje się groźba dla całego systemu ekologicznego (ekologia: nauka o siedliskach organizmów — red.). Biolog Charles Wyrster utrzymuje, iż nawet minimalna koncentracja DDT w planktonie może w znacznym stopniu, udaremnić proces fotosyntezy. O ile takie niepożądane zjawisko wystąpiłoby masowo, mogłoby mieć groźne następstwa dla wszystkich istot żywych.

Znamienny przypadek spustoszenia ekologicznego, spowodowany użyciem DDT, zdarzył się na wyspie Kalimantan (indonezyjska nazwa Borneo — red.). W następstwie rozpylenia dużych ilości tej substancji wytruto muchy, którymi obficie uraczyły się jaszczurki. Z kolei koty, które zjadły te jaszczurki, zaczęły masowo ginąć. W konsekwencji, szczury, skutecznie dotąd tępione przez koty, zaatakowały osady i wsie. Nad wyspą zawisła groźba wybuchu epidemii groźnych chorób. Wielu uczonych przewiduje, iż skutki działania DDT okażą się również groźne dla człowieka, jak już okazały się groźne dla przyrody.

Obrońcy chemicznych środków do zwalczania szkodników utrzymują jednak,

MAŁGORZATA PRAŻMOWSKA

Za drzwiami bez klamek

Jednym z ubocznych produktów cywilizacji jest niepokojący wzrost chorób psychicznych. Niektórzy z lekarzy oceniają liczbę potencjalnych pacjentów szpitali dla psychicznie i nerwowo chorych na około 40 proc. ogółu ludności. Jednocześnie wizyta u psychiatry jest dla wielu ludzi czymś wysoce wstydliwym, zaś sam pobyt w szpitalu dla nerwowo chorych jest w ogóle rzeczą podejrzaną i dyskwalifikującą człowieka. Stosunek ludzi do pacjentów tych placówek nacechowany jest dużą dozą ironii, dwuznaczności i nieporozumienia. Tymczasem nerwowe i psychiczne odchylenia od normy są równie uleczalne jak większość chorób natury fizycznej. Szpitale psychiatryczne nie są azylami dla obłąkanych lecz normalnymi lecznicami dla ludzi cierpiących.

Spojrzenie od wewnątrz na pracę w szpitalu psychiatrycznym niewątpliwie wiele wyjaśnia. Poniżej publikujemy wspomnienia pielęgniarki, pracującej piąty rok w szpitalu im. dra Babińskiego. Pracą w tym szpitalu obfituje w zdarzenia dziwne, czasem niesamowite, nie pozbawiona jest elementów tragicznych i groteskowych, równocześnie wymaga od personelu wielkiej cierpliwości i poświęcenia.

RED.

* * *

Podczas pobytu w szkole pielęgniarskiej o pracy w szpitalu psychiatrycznym miałam jak najgorsze mniemanie. Zresztą jak wiele dziewcząt przede mną i po mnie. Jak w ogóle wszyscy. Podziw i przestrach towarzyszą mi wszędzie na wiadomość, że pracuję w Kochanówce.

Kiedy po ukończeniu szkoły oświadczono mi w Wydziale Zdrowia, że mogę otrzymać pracę tylko w szpitalu psychiatrycznym — zgodziłam się. Trochę z konieczności, trochę na złość sobie. Szłam do szpitala z duszą na ramieniu.

Przełożona była bardzo miła. Uprzejmie mnie przyjęła, wręczyła specjalny klucz do otwierania drzwi bez klamek. W krótkiej rozmowie potrafiła mnie przekonać, że jestem tu bardzo potrzebna, że ta praca ma sens. Pełna optymizmu, pokrzepiona na duchu udałam się na oddział.

Pracę zaczęłam na oddziale męskim, drobiazg — 200 osób. W życiu się tak nie bałam. Wszyscy byli podobni do siebie, mieli krótko obcięte włosy, rozchełstane koszule, błędny wzrok. Spacerowali monotonnie po korytarzu i od niechcenia mi się przyglądali. Gdy drzwi się za mną zamknęły, nie wiedziałam co robić. Drzwi bez klamek są nieme, puste, jakieś okrutne. Dopiero tam uświadomiłam sobie jak zwykła klamka ożywia martwe drzwi. Co prawda w ręku miałam ów specjalny klucz, ale nie bardzo wiedziałam jak się go używa. Gdybym wtedy umiała się nim posługiwać, może bym stamtąd uciekła i nigdy już nie wróciła. Na razie ciężko wystraszona schroniłam się do dyżurki.

— Na litość boską — mówię do dziewcząt — ja nie wiem jak się tu ruszyć. Jedna z koleżanek szła akurat robić zastrzyk, poszłam z nią w tłum pacjentów. Wszyscy przystanęli i zaczęli mnie bacznie obserwować. Byłam nowa, obca. Pacjenci tego szpitala najbardziej wrogo odnoszą się do osób sobie nie znanych oraz do ludzi w mundurach.

— Lalunia, nie podskakuj, nie podskakuj — odezwał się któryś z nich. — He, he, rozległo się po sali. Zaczęły pod moim adresem płynąć słowa niecenzuralne. Padały ciężkie jak kamienie, raniły, bolały. Chwyciłam tackę z zastrzykami, uciekłam do dyżurki, rozpłakałam się i przyrzekłam sobie, że nigdy do nich nie wrócę. Byłam przerażona. Przez tydzień chodziłam nieprzytomna ze strachu; w dodatku już w pierwszym dniu skradli mi klucz, nie mówiąc o papierosach i długopisie.

Stanowiłam widok przygnębiający. Koleżanki zlitowały się nade mną, zaczęły mnie pocieszać, dodawać otuchy.

— Udawaj, że się nie boisz — radziły. Udawaj, że całe życie nic innego nie robiłaś, tylko pracowałaś wśród chorych psychicznie.

Dobre sobie.

Potem nie wiem jak to się stało, a przecież tych chorych polubiłam, zaczęłam patrzeć na nich innymi oczyma. Tacy byli biedni, nieszczęśliwi, po prostu chorzy. Pełni urojeń i prześladowczych manii. Jeden z nich codziennie z Bogiem rozmawiał. Mistyk i piroman. Twierdził, że Bóg mu kazał podpalić stodołę. Często wśród chorych spotyka się urojenia na tle religijnym. Ten miał szczególnie mistyczną dewiację. Na ogół był spokojny, uprzejmy, aż ugrzeczniony. Któregoś jednak dnia pracowałam akurat po obiedzie, gdy przyszła salowa i powiadomiła mnie, że się z nim dzieje coś niedobrego. Nie chce przyjść po leki do dyżurki. Prosiła, żeby pójść do niego i zanieść mu leki, bo jest zbyt niespokojny. Poszłam, zaniosłam mu leki, wyglądał rzeczywiście dziwnie, oczy miał niesamowite. Zapytał mnie czy widziałam taniec jogów. Jeśli nie widziałam, to zobaczę. Wyskoczył na środek pokoju i zaczął się w kółko obracać. Przerażona stałam przy oknie i czekałam aż się uspokoi. Wyjść nie mogłam, ponieważ swe dzikie harce uprawiał blisko drzwi. Wolałam nie ryzykować, nie wiedząc czy mnie przepuści. Pamiętałam, że został internowany do szpitala przez sąd za zabójstwo matki.

Tym razem leki przyjął i uspokoił się. Ale na drugi dzień w czasie obchodu doszedł do wniosku, że uszy szpecą człowieka. No a jak szpecą, trzeba je obciąć. Wyciągnął skądś nóż i chciał obciąć uszy lekarzowi. W porę został unieruchomiony. Nóż dał mu widocznie ktoś z członków rodziny. Niestety, rodziny są na tyle nieroztropne, że czasem zostawiają chorym nożyki, a personel nie zawsze w porę może sprawdzić i odebrać.

Pacjent ten w chwilach uspokojenia był człowiekiem nader sympatycznym. Gdy zachorował, żona się z nim rozwiodła, natomiast w szpitalu zaczęła się pojawiać inna kobieta bardzo do niego przywiązana. Ofiarność i miłość tej kobiety budziła w nas podziw i jednocześnie przerażenie. Już od wielu lat przychodzi ona systematycznie, przynosi choremu owoce, ciasta, smakołyki. Odwiedza ordynatora, pisze prośby do sądu o zwolnienie jej ukochanego ze szpitala. Wierzy, że go sama wyleczy. Nie wierzy, że on jest ciężko chory. Często spotkać ich można na terenie szpitala, trzymają się za ręce, spacerują alejkami. Szczęśliwi nieszczęśliwi. W tym szpitalu co człowiek to dramat.

Ciekawa rzecz. Urojenia związane są zwykle z epoką, z aspiracjami społecznymi w danym okresie. Swego czasu sporo było wśród psychicznie chorych Napoleonów, Piłsudskich, dziś ich się nie spotyka. Podobno amerykańskim pacjentom tego typu szpitali co nasz wydaje się, że są milionerami, biznesmenami, menażerami. Naszym rodzimym zdarzają się ostatnio urojenia na tle rozwoju kosmonautyki, fizyki, elektroniki. Jednemu wydaje się, że jest Gagarinem, inny znów zamawia w Paryżu rakietę, którą poleci na Wenus. Tam czeka na niego dziewczyna. Jest taki, który ma obsesję fotokomórek. Fotokomórki wszędzie go naświetlają. Drugiego prześladują fale ultrakrótkie, wydobywające się rzekomo z przewodów linii tramwajowych. Nie położy się w poprzek łóżka, bo go tramwaj przejedzie.

Niektórym schorowana wyobraźnia podsuwa bardzo ponure obrazy. Kiedyś przywieziono kobietę, która wszędzie widziała owady. Ciągle strzepywała je z siebie. W domu starła papierem ściernym całą politurę z nowych mebli. Tacy są najbardziej nieszczęśliwi, najbardziej cierpią, najbardziej potrzebują pomocy lekarza-psychiatry.

Pewnego razu jeden z naszych pacjentów zachorował, trzeba go było operować. Zabrano go do szpitala w Zgierzu. W naszym szpitalu był on wyjątkowo spokojny. Około południa otrzymaliśmy pilny telefon, że nie mogą sobie z nim dać rady. Pojechałam naszą karetką. Powitano mnie bardzo gorąco. Jak to dobrze, że pani przyjechała. Zdzisio — tak było na imię choremu — jak mnie zobaczył też bardzo się ucieszył. Słowo honoru — przysięgał — byłem bardzo spokojny. Ja Kochanówce wstydu nie przyniosę. Od jednego pana wziąłem tylko kartkę. Od drugiego ołówek, bo chciałem napisać dwa listy. Jeden pożegnalny na wypadek jak się operacja nie uda, drugi żeby mi rodzina przysłała kurę i rosół jak się operacja uda.

Życie chorych w Kochanówce zbliżone jest do życia ludzi zdrowych. Nawiasem mówiąc, popularna nazwa wywodzi się od właściciela nazwiskiem Kochański. Na początku naszego wieku odkupiono od niego 40 ha ziemi i w 1902 roku przyjęto pierwszą partię chorych. Właściwa nazwa szpitala brzmi: Szpital dla Nerwowo i Psychicznie Chorych im. Dr J. Babińskiego.

Na terenie szpitala znajduje się kino, klubo-kawiarnia, odbywają się występy artystyczne łódzkich aktorów, ba, nawet wieczory autorskie. Ponadto odbywają się wewnętrzne uroczystości i akademie „z okazji", nawet zabawy taneczne. Część artystyczną chorzy sami wypełniają własnym programem. Przejęci są wtedy bardziej niż dzieci w przedszkolu. Dostarczają wrażeń nie zapomnianych. Proszę sobie np. wyobrazić zabawę, gdzie wszyscy tańczą w piżamach. Piżama to w ogóle mundur obowiązkowy w tym szpitalu. W piżamie trudniej stąd zbiec. Amatorów ucieczek jest sporo. Kiedyś spotkałam naszego pacjenta na Placu Wolności. Raz miałam przeprowadzić chorego z izby przyjęć do pawilonu. Ledwo wyszliśmy powiedział: „No to cześć!" i uciekł. Wtedy dostałam pierwszą naganę. Najtrudniejszą rzeczą w naszym szpitalu jest chyba policzyć chorych na oddziale. Jest to właściwie rzecz praktycznie niewykonalna. Próbowałam kilkakrotnie i nie udało się.

Drugą naganę otrzymałam za pacjenta, który usiłował popełnić samobójstwo. Wyskoczył z pierwszego piętra i pokaleczył się nieco. Zresztą amatorów samobójstw jest prawie tylu co amatorów ucieczek. Właściwie samobójstwo też jest formą ucieczki, tylko trochę dalej. Ludzie chorzy psychicznie i nerwowo bardzo często usiłują się targnąć na swe życie. Choć może bliższe prawdy byłoby powiedzieć, że każdy samobójca jest chory psychicznie.

Może to zabrzmi jak paradoks, lecz najwięcej kłopotów sprawiają ludzie zdrowi. Zdrowi to znaczy symulanci, którzy są tutaj na obserwacji. Przestępcy, którzy przez psychiatryczną furtkę naszego szpitala chcą się wywinąć sprawiedliwości. Jeden z członków afery mięsnej przez pół roku milczał, udając niemowę. Drugi znów cały czas mówił szeptem. Nie wiedzieli, że my wiemy, iż po otrzymaniu insuliny mówią normalnie, głośno.

Pogodniejsze reminiscencje, prawie z andersenowskich baśni budzi pewien chory z zapałkami. Jak go tylko pamiętam nigdy nie rozstaje się z pudełkiem zapałek. Jest głęboko przekonany, że w środku pudełka znajduje się piękna dziewczyna. Jest w niej śmiertelnie zakochany. Chodzi z nią, tańczy, rozmawia, śpi z nią. Dziewczyna mu gotuje, pierze, robi zastrzyki. Jest na swój sposób szczęśliwy w swym urojonym świecie. Przypomina trochę owego człowieka, który przez wiele lat starał się o telefon. Wychodził codziennie z domu z podaniem, wydeptywał korytarze biur, wysiadywał w przedpokojach dyrektorów, by wracać wieczorem załatwiony odmownie. Wreszcie kupił aparat, słuchawkę, kabel wyrzucił na balkon. Teraz codziennie podnosi słuchawkę, nakręca numer i w dalszym ciągu się z nikim dogadać nie może. Ale przynajmniej nie musi w tym celu wychodzić z domu.

że te wszystkie alarmy są przesadzone, choć, z drugiej strony, nie zaprzeczają, iż zatrucie DDT może wywołać u ludzi nawet drgawki i konwulsje.

DDT używa się coraz mniej. W r. 1962 w Stanach Zjednoczonych wyprodukowano go 167 milionów funtów (funt — 453 kg — red.). W ubiegłym roku produkcja DDT spadła do 138 milionów funtów. Jednakże zaważył na tym nie tylko ostry protest opinii publicznej, lecz również nabyta odporność wielu gatunków owadów na trujące właściwości preparatu. Stwierdzono, iż 150 gatunków szkodników nie jest już dziś podatne na działanie DDT. Uczeni nie szukają nowych, uniwersalnych środków trujących, koncentrując uwagę i wysiłki na znalezieniu bardziej efektywnych metod: wyhodowaniu owadów, niszczących szkodniki, wynalezieniu pułapek, wabiących je przy pomocy dźwięków i kolorów, czy też niszczeniu ich drogą sterylizacji.

Żadna z tych metod nie jest tak bardzo niebezpieczna, jak używanie DDT.

Spadkobiercy tradycji „SS"

„UNITA" — RZYM

„Pułkownik Robert Rheault jest wysokim, silnie zbudowanym mężczyzną o stanowczym wyrazie twarzy. Posiada pięć odznaczeń wojskowych; dwa spośród nich — za wybitne zasługi w wojnie koreańskiej. Jest uważany za jednego z najlepszych specjalistów w zakresie walki z partyzantką. Krótko mówiąc, płk Rheault jest typem oficera zawodowego, o jakim marzą zazwyczaj generałowie. Podwładni nazywają go „żelazną głową". Jeszcze do niedawna był dowódcą oddziałów specjalnych USA w Wietnamie Południowym. Obecnie „żelazna głowa" znajduje się w areszcie. On i jeszcze siedmiu innych oficerów. Wszyscy są oskarżeni o bestialskie zamordowanie Wietnamczyka Thai Khae Chuyena.

Rozpatrywanie tego rodzaju przestępstw nie jest czymś nowym dla amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Jednakże tym razem wojskowe dowództwo Stanów Zjednoczonych w Wietnamie Południowym nie mogło użyć chwytów, jakie już niejednokrotnie stosowało do tuszowania mordów, dokonywanych przez wojska amerykańskie na Wietnamczykach.

Nasuwa się pytanie: jak, kiedy i dlaczego pojawiły się w składzie US Army owe osławione „siły specjalne"? Otóż o powołaniu ich do życia poinformował amerykańską opinię publiczną Robert Mac Namara jeszcze na początku 1962 roku. Ówczesny minister obrony w rządzie Kennedy'ego powiedział wówczas:

„Obecnie, w każdym punkcie kuli ziemskiej komuniści prowadzą walkę przy pomocy zakonspirowanej działalności wywrotowej. Taktyka wojenna tzw. sił narodowo-wyzwoleńczych polega na przewrotach, sabotażach, zasadzkach, terrorze. W walce z nimi powinniśmy nieść pomoc zaprzyjaźnionym z nami narodom...".

„Zielonych beretów", bo o nich tu jest mowa od początku używa się więc wszędzie tam, gdzie Stany Zjednoczone pragną zabezpieczyć swe interesy. Są one elitą oddziałów wojsk specjalnych USA.

Selekcja kandydatów odbywa się w Fort Bragge (miasto w północnej Karolinie) oraz w amerykańskiej bazie wojskowej, mieszczącej się w strefie Kanału Panamskiego. Natomiast szkolenie „zielonych beretów" prowadzi się w dwóch obozach, z których jeden znajduje się na wyspach Hawajskich, a drugi w Alpach Bawarskich, zaledwie 40 km od Monachium. Warto wspomnieć, iż w tym ostatnim, szkolono swego czasu sławetne oddziały specjalne SS. Po wojnie zajęli obóz Amerykanie i kwaterują tam do dziś.

Centrum dyspozycyjne „zielonych beretów" dla Azji południowo-wschodniej znajduje się na Okinawie.

Najemników uczy się m. in. skoków ze spadochronem w dzień i w nocy, w każdym terenie i o każdej porze roku, umiejętności strzelania z każdej broni, zabijania gołymi rękami itp. Łącznie z tym „elewów" pozbawia się wszelkich ludzkich uczuć, rozwijając w nich wyłącznie „żądzę zniszczenia komunizmu"...

Określone koła korzystały z usług „zielonych beretów" w Arabii Saudyjskiej, Grecji, Mali, Gwatemali, Wenezueli, Ekwadorze, Salwadorze, San-Domingo, Haiti, Boliwii, Syjamie, Laosie, Wietnamie, Indonezji. To właśnie spece z „zielonych beretów" szkolili boliwijskich żołdaków, którzy zamordowali Ernesta Che Guevarę.

Ale w Wietnamie, gdzie nawiasem mówiąc „zielone berety" bardzo liczyły na podbudowanie krwawej sławy pogromców partyzantki i komunistów, spuszczono im sromotne lanie. I nie tylko na polach walki w Południowym Wietnamie, gdzie ich wyszukane metody prowadzenia walki z partyzantami poniosły zupełne fiasko. Bo oto przed dwoma laty, sierżant z tej formacji, Dawid Danken, który porzucił tę „zaszczytną służbę", po powrocie do USA opublikował materiały, mówiące o torturach i innych bestialstwach, jakich dopuszczają się jego koledzy w Wietnamie Południowym.

I oto właśnie dlatego zbrodni pułkownika Rheault nie można uznać za pospolitą. Jest to codzienna praktyka okrucieństwa i terroru, przy pomocy której Pentagon ma nadzieję powstrzymać i stłumić dążenia narodów do niezawisłości.

Przypomina to rzut bumerangiem — „wraca i bije tego, kto nim rzuca...".

Zewsząd o wszystkim

JOLANTA MACH

SZTUKA ZAPOŻYCZONA

Telewizyjny film, czyli taki, jakiego przedtem nie było w kinie, narodził się z telewizyjnego teatru. Mówiąc inaczej, był to film wykalkulowany czy wysnuty z cech właściwych żywemu, to jest rozgrywane mu aktualnie na oczach widza, dramatycznemu widowisku telewizyjnemu. Film ten cieszył życzliwego dla telewizji odbiorcę uzasadniając przekonanie, powzięte z góry i na wyrost, że telewizja może być nie tylko przekaziciełką, lecz też inspiratorką form artystycznych.

Przedstawiciele takiego filmu nie są liczni, można wymienić zaledwie kilkanaście tytułów, wśród których blaskiem najpiękniejszym jaśnieje „Dwunastu gniewnych ludzi" Sidneya Lumeta, a także plejada filmów, których scenariusze wyszły spod pióra Paddy'ego, Chayefsky'ego: „Marty", „Wieczór kawalerski", „W środku nocy". Ważna jest data powstania tych filmów: wszystkie pochodzą z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych.

Teatr telewizji — nawet słynny nowojorski „Playhouse 90", własność koncernu telewizyjnego Columbia Broadcasting System, gdzie startowali Lumet i Chayefsky — posługiwał się w tym czasie bardzo skromnymi środkami technicznymi. Mimo to, lub może — właśnie dlatego (Goethe mawiał, że po sprawnym działaniu w ramach ograniczeń poznać mistrza) wczesne i ubogie technicznie lata przyniosły znamienne rezultaty artystyczne. Powtórzyła się historia, jaka zdarzyła się filmowi, który od razu, niemal od swego zarania, kiedy nie miał jeszcze dźwięku i barwy i ludzi wykształconych do swojej dyspozycji — ustalił prawidła i zasady, z grubsza utrzymujące się do dzisiaj i do dzisiaj określające jego miejsce w rodzinie sztuk. W telewizyjnym studio znajdowała się wówczas jedna kamera. Jedna kamera z jednym obiektywem. Ta prozaiczna przyczyna, wespół z drugą podobnie prozaiczną, mianowicie małym rozmiarem ekranów w odbiornikach (były wtedy 12, rzadko 17-calowe) zapoczątkowała karierę zbliżenia w telewizji. Wypełnianie całego ekranu twarzą aktora dopiero wtórnie zostało użyte artystycznie. W pierwszym rzędzie miało zakrywać resztę sceny, na której konieczne były nie należące do akcji przesunięcia, oraz umożliwiać widzowi dobre przyjrzenie się, zapamiętanie bohatera.

Dokonywano więc w studio zmian dekoracji, bądź inaczej ustawiano aktorów, tymczasem zbliżenie, powiedzmy portret, zaczynał żyć własnym życiem. Im bardziej skomplikowane, wymagające więcej trudu i czasu, były zmiany w studio, tym dłużej trwał portret na ekranie i tym wyraźniej rwała się więź pomiędzy portretowanym aktorem, a jego niewidocznymi partnerami. Adresatem wypowiadanej kwestii czy spojrzenia stawał się bezpośrednio — widz.

Zorientowano się wkrótce, że jest to nowy sposób komunikowania się z odbiorcą. Nowy, czy tylko odświeżony, bo znany w innych dziedzinach sztuki, lecz przez nie zarzucony. Dał się porównać z monologiem bądź tyradą, które bohater dawnego teatru greckiego kierował do niebios lub do nikąd, najpewniej do zgromadzonego tłumu ateńskiego ludu; i z wizerunkami malarskimi, które — najczęściej, lecz nie wyłącznie w sztuce ludowej — zwracają wzrok przedstawionych postaci wprost na widza, albo każą tym postaciom wodzić za widzem oczyma. Nie ulegało wątpliwości, że telewizja nawiązując do tradycji, która wzbraniała dziełom sztuki gardzić bezpośrednim kontaktem z odbiorcą — zdobywała, podobnie, jak jej poprzedniczki, miano „demokratycznej".

I jeszcze jedną szczególną własność miały realizowane w pionierskim okresie przedstawienia teatru telewizji. Niedostatki techniczne, zwłaszcza brak wygodnej i niedrogiej metody zapisu, sprawiały, że przedstawienie zyskiwało swój ostateczny kształt rzeczywiście na oczach widza*). Półprodukt ulegał wykończeniu w obecności konsumenta: ta rzecz nigdy dotąd nie zdarzała się w sztuce, raczej nie skłonnej zdradzać tajników wykonywania swoich dzieł i nie ryzykującej jawnego popełniania błędów. Wydawało się, że dramat wystawiany w telewizyjnym teatrze czyni widzowi niejako podwójne awanse, raz sugerując mu rolę rozmówcy bohatera, drugi — dopuszczając do uczestnictwa w akcie twórczym.

Odbiło się to na budowie utworów pisanych dla teatru telewizji. Widz wkraczał do akcji z dobrodziejstwem inwentarza, przede wszystkim wnosząc własne poczucie czasu. Naturalne stało się przeświadczenie, że dramatyczne wydarzenia winny rozwijać się w odcinku czasu, jaki widz poświęca na oglądanie, a także, że należy przestrzegać chronologii. Najmłodszy teatr telewizyjny reaktywował klasyczną zasadę jedności, miejsca, czasu i akcji.

Wiemy, że ani ta zasada, ani portretowe zbliżenie, nie były obce kinu. Stosowanie ich pozostawało jednak sprawą wolnego wyboru twórcy, mogły też, ale bynajmniej nie musiały mieć w kinie tych znaczeń i wagi, których nabrały w telewizji.

Udział widza kinowego w akcji filmu opiera się na czymś innym niż wspólnota płaszczyzny czasowej: złudze nie tworzą ciągłe zmiany odległości, z której ogląda obrazy, zmiany podpowiadające, że to on, widz, podszedł bądź oddalił się od przedmiotu. „Poruszając się" w przestrzeni, którą tworzy film i godząc się na nią, widz kinowy godzi się również z umownością czasu: nurza się w czasie, gdzie przeszłość miesza się z teraźniejszością.

Zbliżenie oczywiście również w kinie zagraża nadszarpnięciem więzi między bohaterami utworu. Jeśli jednak twórcy filmowi z umiarem posługują się zbliżeniem, to nie tyle decyduje tu obawa przed widzem jako partnerem (czy przed zbyt poufałymi związkami z widzem), ile świadomość, że plan bliski jest tylko jednym z wielu możliwych planów; a jako jeden z wielu powinien z nimi harmonizować.

Ze strony kina nie istniały zatem przeszkody, by podjąć i wykorzystać w filmie cechy telewizyjnego teatru. Nie istniały przeszkody, ale ustępowała też konieczność techniczna, która ciążyła nad żywym widowiskiem i którą rzeczą artysty było obracać w konieczność artystyczną.

„Marty", „W środku nocy", „Dwunastu gniewnych ludzi" pojawiły się najpierw na antenie teatru telewizji. Zmieniając przedstawienia w filmy nie zmieniono realizatorów, w obu wcieleniach swych „Dwunastu..." Lumet „posługiwał się kamerą z okiem czułym na detal. Obraz pełen był znaczących momentów, widocznych wyraźnie w zbliżeniach". Nieśmiały rzeźnik Marty i stary zakochany krawiec z „W środku nocy" Chayefsky'ego podobnymi w filmie i w przedstawieniu telewizyjnym środkami szukali współczucia u odbiorcy. Nie do nas należy wnikać, czy i jak dalece Lumet i Chayefsky, realizując zarówno przedstawienia, jak i filmy, mieli zadanie ułatwione. Wydaje się, że telewizyjny kształt nadały filmom nie nawyk i lenistwo, lecz utrzymujący się zachwyt artysty dla ofiarowanych mu, nowych narzędzi pracy.

Postęp techniczny przyniósł telewizji większą ilość kamer w studio, dodatkowo wyposażonych w głowice z kilkoma obiektywami, i większe rozmiary ekranów w odbiornikach. Dzięki temu nawet żywe widowisko może dziś przypominać film — i robi to z większym lub z mniejszym powodzeniem. Ponieważ telewizja wyrzeka się cech, które charakteryzowały ją w okresie trudności technicznych i nie targując się opłaca postęp w dziedzinie techniki utratą oryginalności artystycznej, nie ma powodu, żeby przeznaczony dla telewizji film zachowywał to, co ona odrzuca. Na półkach archiwum od paru lat nic nie zakłóca samotności „Marty'ego" i „Dwunastu gniewnych ludzi".

Zjawisko wzajemnych zapożyczeń znane jest w sztuce i stąd sam w sobie nie jest naganny fakt, że właściwościom kina wolno przenikać do widowisk telewizyjnych. Tylko — zauważa mądry krytyk telewizji, Gilbert Seldes — „istnieje odpowiedni i nieodpowiedni czas na pożyczanie". Widowisko telewizyjne, jak się zdaje, zbyt wcześnie zaciąga pożyczki w kinie i nie jestem pewna, czy okaże się wypłacalne.

*) Być może potrzebne tu będzie małe wyjaśnienie: znawcy zagadnienia (u nas badania w tym przedmiocie prowadzi dr Aleksander Kumor z IS PAN) rozróżniają tzw. pierwowzór, czyli postać, jaką przedstawienie ma w studio przed przeniesieniem na antenę, oraz postać właściwą, ekranową.

TELEOBIEKTYW

Inny Szekspir

Telewizja na obecnym etapie rozwoju technicznego i przy — będącej jego wypadkową — obecnej strukturze programowej mało daje okazji do porównań, konfrontacji. Radio z rozległą skalą, na której wychwycić można dziesiątki programów z naszego kontynentu i nawet z innych, dostarcza szansy takich konfrontacji każdemu z nas. W telewizji skazani jesteśmy jak dotąd na jeden program (drugi program krajowy wystartuje za rok).

Dobrze więc, że kierownictwo programowe TV samo dba o to, by od czasu do czasu na naszych ekranach pojawiały się programy zagraniczne. Odbywa się to albo drogą wymiennych transmisji, albo przez przekazywanie programów obcych zarejestrowanych na taśmie filmowej.

Mniej więcej od dwóch lat nadawane są właśnie z taśmy filmowej ciekawsze spektakle teatru TV zrealizowane za granicą. Odcinek programowy nosi nazwę „Teatr TV na świecie". Ostatnio (5 bm.) zaprezentowano nam spektakl telewizji brytyjskiej BBC. Była to komedia Wiliama Szekspira „Jak wam się podoba" w wykonaniu zespołu Królewskiego Teatru Szekspirowskiego w Stratfordzie i w reżyserii Ronalda Eyre'a.

W trosce o możliwie pełny kształt artystyczny widowiska Telewizja Polska zleca z reguły pełne zdubbingowanie zagranicznej produkcji. Czytanie tekstu po polsku przez lektora może mieć miejsce w przypadku filmu fabularnego, gdzie publiczność nastawiona jest głównie na percepcję przebiegu akcji. W stosunku do widowiska teatralnego zabieg taki byłby chyba zabójczy.

Tak więc i w transmisji „Jak wam się podoba" słuchaliśmy polskich aktorów, wypożyczających swoje głosy angielskim kolegom. Jest to zresztą wybór mniejszego zła, ponieważ dubbing, nawet najlepszy, musi w jakiś sposób zniekształcić oryginał widowiska.

Ale wróćmy do spektaklu! Dał mi on sporo do myślenia na temat interpretacji klasyki w telewizji. Gdyby „Jak wam się podoba" miał zrealizować na małym ekranie któryś z naszych reżyserów, stawiam czapkę, że poszedłby w kierunku konwencji czysto teatralnej. Obawiałem się tego także ze strony Anglików, którzy kultywują przecież z pietyzmem tradycje szekspirowskie. A cóż dopiero mówić o trupie teatralnej ze Stratfordu nad Awonem!

Ale na samym początku czekała mnie niespodzianka. Na ekranie ukazało się dwóch ludzi popychających z trudem wózek. Nic z teatralnych gestów i umowności. Normalna ciężka praca rolnika. Kamera przybliża się do twarzy jednego z tych ludzi — jest to Orlando w interpretacji Patricka Allena — który strudzonym gestem ociera pot z czoła. To nie był teatr, to był kawałek życia!

W tym kierunku szła zresztą cała realizacja widowiska. Walki atletyczne sprawiały wrażenie autentycznych zmagań (abstrahuję od tego, że nas w Łodzi przerwa na łączach pozbawiła widoku zasadniczego dla dalszego toku akcji zmagania się Orlanda z zapaśnikiem Karolem). Rozalinda i Celia prowadzą intymne rozmowy dziewczęce w nocnych koszulach, w lasku Ardeńskim płonie prawdziwe ognisko, a nad nim obraca się na rożnie apetyczna pieczeń.

Można by zarzucić takiemu traktowaniu sprawy, że grawituje ku płaskiemu weryzmowi. Pokazanie w pierwszym planie rogów jelenich w czasie polowania było takim właśnie nieco karykaturalnym zbliżeniem się do dosłowności.

W pewnej mierze jednak widowisko, którym nas uraczyła BBC, było niekonsekwentne. Skoro z takim wysiłkiem starano się stworzyć środkami scenograficznymi niemal autentyczne warunki dla rozgrywania akcji, skoro duża część komedii dzieje się w plenerze, w lasku Ardeńskim, to dlaczego nie zdecydowano się rozegrać przedstawienia w prawdziwym plenerze? Po co te udane wspinaczki po górach mozolnie skonstruowanych w studio, po co dęby-atrapy i inne elementy dekoracyjne, które starały się jak mogły naśladować naturę; ale tylko naśladować?

Nie był to więc z pewnością spektakl idealny. Realizatorom zabrakło trochę śmiałości. Widowisko dostarczyło jednak materiału do dyskusji na temat: klasyka teatralna w telewizji. Chyba byłby już czas śmielej szukać w tym względzie własnych form wyrazu artystycznego specyficznych dla małego ekranu, a nie kopiować w nieskończoność wiernie teatr!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Film Janusza Majewskiego „ZBRODNIARZ, KTÓRY UKRADŁ ZBRODNIĘ" jest adaptacją wyróżnionej pierwszą nagrodą na konkursie Komendy Głównej MO i Wydawnictwa „Iskry" książki Krzysztofa Kąkolewskiego. Kryminalna powieść tego świetnego dziennikarza i publicysty była ze względu na typ narracji swego rodzaju rewelacją. Kąkolewski rezygnując z warstwy opisowej, napisał książkę, która była zbiorem dokumentów — apokryfów. Wymyślone przez autora, lecz wzorowane na protokółach przesłuchań, ekspertyzach itp. dokumenty tworzą wrażenie autentyku i wzmagają emocje towarzyszące lekturom powieści kryminalnych.

Przełożenia na obrazy filmowe tego tomu akt sprawy prowadzonej przez kapitana Siwego podjął się Janusz Majewski, kładąc akcent na ów trop autentyzmu. Dobra książka w ręku sprawnego reżysera dała w efekcie chyba najlepszy w dziejach polskiej kinematografii film kryminalny.

Powieść Kąkolewskiego niewątpliwie zachowuje większy pozór autentyku, owe dokumenty — apokryfy pełnią w tym funkcję podstawową. Zbudowanie filmowej fabuły z elementów dokumentalnych i na pozór autentycznych okazało się trudniejsze, odbicie rzeczywistości nie zawsze jest w filmie rzeczą tak prostą jak się wydaje. Sądzę, że niebagatelną rolę pełni tu fakt, iż zjawiają się w filmie postacie znanych aktorów. Czuł to zapewne również Majewski oddając role większości postaci epizodycznych aktorom mało z ekranu znanym. Szkoda, że nie uczynił tego również w odniesieniu do ról pierwszoplanowych.

Troską reżysera stało się zatem zachowanie pewnej surowości i prostoty w budowaniu tej opowieści o poszukiwaniu prawdy oraz pewna kompromisowość wobec niemożności pełnego autentyzmu nań stylizacja. Osiągnął to Majewski wykorzystując autentyczność wnętrz, podpatrując warszawską ulicę i podwórka domów. Troskę tę i zamierzenia odnajdujemy również w sztuce operatorskiej tego filmu. Antoni Nurzyński sięgnął do pewnych konwencji zdjęć typu reportażowego, korzystał z usług ukrytej kamery, minimalnie wykorzystywał sztuczne światło, dbał o oszczędną charakteryzację, co dało owe niezbędne dla intencji reżysera efekty surowości.

Poza niewątpliwie interesującym wątkiem kryminalnym, walory powieści Kąkolewskiego i filmu Majewskiego tkwią w rysunku psychologicznym bohaterów. W tych dość stereotypowych, ze względu na gatunek filmu i ze względu na samą opowieść, postaciach odnajdujemy jednak cechy bardzo indywidualne wzbogacające ich prawdę psychologiczną.

Niebanalna analiza psychologiczna, a odnosi się to niemal do wszystkich postaci filmu, czyni z tej kryminalnej opowieści interesujący dramat psychologiczny i obyczajowy.

Opowieścią o zbrodni jest również francusko-włoski film Rene Clementa „W PEŁNYM SŁOŃCU". Zbrodnia w tym barwnym i rzeczywiście pełnym słońca filmie jest mroczna, a jej analiza miała zapewne w intencjach reżysera mieć charakter psychologiczny.

W centrum uwagi stawia Clement zbrodniarza i motywy jego czynów. Tom zabija dla pieniędzy i z nienawiści. Ta nienawiść to zazdrość człowieka z marginesu o szansę bytowania w bogactwie jemu nie danego. Zaprogramowana i z precyzją przeprowadzona zbrodnia ma mu dać miejsce wśród tych których nienawidzi.

Mimo znakomitości realizacji wielu fragmentów filmu odnosi się jednak wrażenie, że Clement zaprzepaścił szansę dobrego filmu. W grze, którą prowadzi zbrodniarz ze swą przyszłą ofiarą można dopatrzeć się uproszczeń, których można było uniknąć, sięgając głębiej do psychiki Toma i traktując film jako swego rodzaju studium kliniczne tego rozdartego psychicznie człowieka. Ta długa lecz niezbędna ekspozycja dawała możliwość ciekawej analizy psychologicznej.

Od drugiej części filmu nie oczekujemy już niczego dobrego poza dreszczykiem sensacji, a i on nie jest tej rangi, której mogliśmy spodziewać się po doświadczonym reżyserze francuskiego filmu. Intryga kryminalna razi uproszczeniami i nawet świetna pointa nie jest w stanie dać amatorom sensacji pełnej satysfakcji.

Podkreślić należy doskonałą grę Alaina Delona, który ma znakomite partie zwłaszcza wówczas gdy czuje się jak osaczone zwierzę i gdy się z tych matapek wyrywa. Poza dyskusją pozostaje również znakomita muzka Nina Rotty potęgująca klimat filmu oraz cudowne pejzaże włoskiego morza, przepięknych miast i miasteczek, których w pełnym słońcu wydobytego piękna nie przygłuszy najmroczniejsza zbrodnia.

Rene Clement swym filmem „W pełnym słońcu" jeszcze raz potwierdził, że jest jednym z najbardziej kapryśnych, nierównych reżyserów z plejady tych, którzy się liczą. Obok filmów znaczących, realizuje rzeczy, które trochę kompromitują, gdyż nazwisko jednak zobowiązuje.

EWA NURCZYŃSKA

POLONICA

WARSZAWIANKI

Sofijskie wydawnictwo „Narodna mładež" opublikowało książkę bułgarskiego pisarza G. Markowa pt. „Żenite na Warszawa" czyli „Warszawianki". Bohaterem tej uroczej książki jest młody student bułgarski studiujący geologię w Warszawie, a treścią jej są perypetie miłosne czarnomorskiego Don Juana w naszej stolicy. Autor zastosował interesujący chwyt kompozycyjny: bohater książki zwierza się ze swoich przejść staremu pastuchowi żyjącemu na odludziu, a każda przygoda stanowi jakby odrębną nowelę. Krytycy zwrócili uwagę, że pisarz dokonał tutaj ciekawej stylizacji postromantycznej.

Książka G. Markowa powinna być możliwie najszybciej przełożona na język polski.

POLSKA KSIĄŻKA WE WŁOSZECH

Z inicjatywy Agencji Autorskiej (o tej zasłużonej placówce kulturalnej pisaliśmy obszernie w „Odgłosach" w rb.) w Mediolanie otwarto wystawę przekładów książek polskich na języki obce. Zainteresowanie nią było tak wielkie, że przewiduje się przeniesienie ekspozycji także do Rzymu i Padwy. Organizatorzy zadali sobie niemało trudu gromadząc 1 300 książek polskich autorów przetłumaczonych w ostatnich tylko latach na 40 języków obcych. Wystawiono także 100 antologii i przekłady najstarszych polskich wydań poczynając od XVI wieku.

Z okazji wystawy włoskie czasopismo „Canguro" wydało okolicznościowy numer poświęcony w całości polskiej literaturze współczesnej.

POLONICA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

VIEIRA DA SILVA

Jest, jak twierdzą niektórzy, najwybitniejszą spośród kobiet uprawiających malarstwo. Urodziła się w Lizbonie w roku 1908. Stale, od lat mieszka i tworzy w Paryżu. Nosi długie spódnice i olbrzymie szale sięgające aż do kostek. Rozmawia głosem cieplym i ściszonym.

Maria-Helena Vieira Da Silva studiowała rzeźbę u Bourdelle'a i Despiau, malarstwo u Friesza i Legera.

Jej obrazy to mnóstwo linii przecinających się i tworzących jakby pajęczynę. Płótna są abstrakcyjne, a mimo to odnosimy wrażenie, że widzimy konstrukcje wnętrz budynków, a równocześnie ich widok z zewnątrz. Sama Vieira Da Silva mówi że kiedyś namalowała obraz który zdawał się przedstawiać wnętrze jakiegoś pokoju, a równocześnie patrząc nań miało się wrażenie, że jest to widok wielkiego miasta, pełnego wieżowców, być może panorama Nowego Jorku. W jej sztuce jedni dopatrują się dominującego wpływu surrealizmu, inni, a tych jest więcej, określają twórczość Silvy jako kompozycje zbliżone do impresjonizmu abstrakcyjnego. W jej obrazach jest jakaś dziwna poezja, fantastyka a zarazem nastrój melancholii, czasem nawet grozy. Niektórzy z krytyków sztuki widzą w jej twórczości analogię do muzyki, a rytm linii przyrównują do rytmów melodii. W przeciwieństwie do większości płócien abstrakcyjnych obrazy Vieiry Da Silva nie opatrują się zbyt łatwo. Malarka twierdzi, że inspiracją jej dzieł jest miasto. Zafascynowana jest cywilizacją urbanistyczną, a równocześnie przytłoczona nią i przerażona. Toteż kiedy ukazuje przez plątaninę abstrakcyjnych linii piękno miast i ich ogrom, akcentuje równocześnie grozę cywilizacji wielkiego miasta, pełnego urbanistycznej.

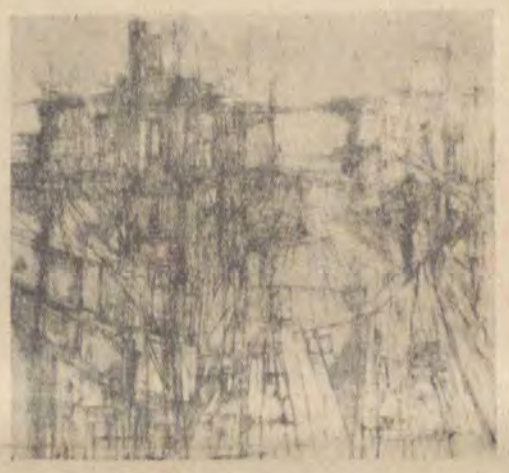

Vieira Da Silva: „Wielkie konstrukcje".

NANA MOUSKOURI W PARYSKIEJ „OLIMPII"

Po dwóch latach Nana Mouskouri, znakomita śpiewaczka pochodzenia greckiego, zamieszkała w Szwajcarii, odwiedziła znów Paryż dając w „Olimpii" koncert na który złożyło się 25 piosenek z których większość to nowe.

Przedstawiciel tygodnika „l'Humanite Dimanche" przeprowadził z piosenkarką obszerny wywiad. Podkreśla on nadzwyczajną prostotę i wdzięk znakomitej śpiewaczki. Swój zawód piosenkarka traktuje niezwykle poważnie. Przed każdym występem ma tremę, zwłaszcza gdy występuje w „Olimpii" i przypomina sobie, że na tej estradzie występowało już tyle znakomitych i słynnych gwiazd. Czy jest szczęśliwa w małżeństwie? O tak, zapewnia Nana Mouskouri. Podróżuje zazwyczaj z mężem, który jest kierownikiem zespołu artystycznego. Kiedy małżonkowie opuszczają Szwajcarię na dłuższy czas, zabierają także swego kilkunastomiesięcznego synka.

DWIE NIEZNANE OPERY Z XVIII W.

Jeden z teatrów w Sztokholmie wystawi w tym sezonie dwie opery z XVIII wieku, właściwie dotąd nieznane. Są to: „Il mondo della luna" Haydna i „Il pastor fido" Haendla. Ani jedna ani druga nie były wystawiane od czasu śmierci ich autorów. Partytura „Il pastor fido" wspaniałej opery-baletu pozostawała zazdrośnie strzeżona w archiwach hrabiego Esterhazy w Wiedniu. Jednak dyrygentowi orkiestry angielskiej, Charlesowi Farncombe udało się do niej dotrzeć. Po raz pierwszy Farncombe wystawi tę operę w Sztokholmie mimo że otrzymał oferty jej wystawienia jeszcze w tym sezonie z Anglii i Niemiec Zach.

„Il mondo della luna" (Podróż na księżyc) dzieło Haydna z zabawnym libretto Goldoniego będzie wystawione pod muzycznym kierownictwem Sergiu Comissiona. Przewiduje się, że zwłaszcza ze względu na aktualny temat (Podróż na księżyc) opera cieszyć się będzie znacznym powodzeniem.

IWAN PIETROW

O słynnym rosyjskim basie, Iwanie Pietrowie czytamy m. in. w 10 numerze radzieckiego magazynu „Sputnik". Wśród rosyjskich śpiewaków wielu było słynnych basów. Obecnie jednym z najlepszych jest wszechświatowej sławy bas, Iwan Pietrow. Ciekawe, że w rodzinie Pietrowych już dawniej zasłynęli śpiewacy basowi jak Osip Pietrow (1806—1878). m. in. pierwszy wykonawca partii Iwana Susanina w operze Glinki. W początku naszego stulecia dużą popularność zdobył sobie w kraju i za granicą moskiewski bas Wasilij Pietrow (1875—1937). I oto 25 lat temu znów na scenie operowej pojawił się bas Pietrow, tym razem Iwan, który podtrzymuje sławę nazwiska. Ten trzeci Pietrow pochodzi z Syberii. Urodził się w 1920 roku w Irkucku gdzie jego ojciec pracował przy budowie kolei transsyberyjskiej.

W 1930 r. rodzina Pietrowych przeniosła się do Moskwy. W stołecznej szkole wysoki i ruchliwy chłopiec Wania staje się jednym z najlepszych sportowców. Wróżono mu sławną przyszłość w tej dziedzinie. Jednak nauczyciel śpiewu zwrócił uwagę, że młody Pietrow jest wyjątkowo muzykalny i że posiada piękny, dźwięczny bas. Za namową nauczyciela Wania nie przerywając nauki szkolnej kształci się w szkole muzycznej. Jest jeszcze uczniem kiedy już należy do zespołu moskiewskiej opery.

W czasie wojny Iwan Pietrow śpiewał w zespole brygady koncertowej występując na żołnierskich estradach w pobliżu frontu. Jeszcze w czasie wojny staje się członkiem zespołu operowego Teatru Wielkiego w Moskwie. Wkrótce gra czołowe role. Najchętniej występuje w rolach tragicznych. Wszechświatową sławę przyniosła mu kreacja Borysa Godunowa.

Jakie są najbliższe plany Iwana Pietrowa? Obecnie, jak zwykle, występuje stale w operach bieżącego repertuaru, ale przygotowuje się równocześnie do wyjazdów zagranicznych. W najbliższym czasie występować ma we Francji i Ameryce.

OPERA „PODRÓŻ NA KSIĘŻYC"

Theatre de la Monnaie w Brukseli wystawi w najbliższym sezonie premierę opery napisanej przez Jacquesa Brela pt. „Podróż na księżyc". Inspiracją autora stało się dzieło Jules Verne'a pod tym tytułem.

od niedzieli do niedzieli

SEZON KSIĘGARSKI

REKLAMA I DYSTRYBUCJA — KSIĄŻKI ZA 818 MILIONÓW — WARSZAWA NA KOŃCU — BIBLIOTECZKI NOWOŻEŃCÓW — CO DAJĄ ANKIETY? — KOŁDRA JEST PRZYKRÓTKA?

Jesteśmy w samym centrum jesieni — w sezonie tradycyjnie już księgarskim. Każde szanujące się wydawnictwo stara się na początek owego sezonu przygotować coś extra — a niełatwo wypracować sobie opinię bestsellera w takim tłoku... Niewątpliwie bombą sezonu będzie książka Janusza Kolczyńskiego o Wolnej Europie. Napiszemy o niej obszerniej w innym miejscu, kiedy uda nam się ją kupić. Na razie odwiedzamy w środy i soboty łódzkie księgarnie — są to bowiem dni „dostawy towaru".

Na marginesie jednak warto zwrócić uwagę na pewien problem. Otóż centralne warszawskie redakcje nie bardzo widać rozumieją, że Polska nie kończy się w Warszawie. Zarówno Telewizja jak i Radio polecają książkę Kolczyńskiego od dobrych kilku tygodni w przeświadczeniu, że jeśli pozycja jest już na stołecznych witrynach księgarskich to i w całej Polsce. Niestety, trzeba brać poprawkę na nieruchawy jak zwykle aparat tzw. dystrybucji. Jest to zresztą dalszy ciąg spięć, o których pisałem niedawno na marginesie polityki i praktyki przecen książek. Spięcia na linii księgowy — urzędnik i księgarz — popularyzator są w dalszym ciągu na porządku dziennym.

W swoim czasie niezwykły rozgłos uzyskała książka Henryka Cybulskiego pt. „Czerwone noce". Miała znakomite i liczne recenzje — jest to zresztą pozycja z kręgu tzw. literatury faktu, jest to wspomnienie — w dodatku wojenne i opowiadające o mało znanych sprawach. Kupno tej książki było oczywistą mrzonką. „Poczekam na drugie wydanie" — pomyślałem sobie. Przed paroma dniami „Czerwone noce" znalazły się w księgarniach. Nie, nie drugie wydanie. Pierwsze. Jak na złość przetrzymano je w magazynach przez okres największego rozgłosu, aby wyrzucić na rynek, kiedy o książce zapomniano. Znów widzę w tym rękę jakiegoś księgowego, dla którego książka jest towarem nie psującym się, nie mającym okresu gwarancji, towarem, który można sprzedawać w dowolnym czasie...

Żebyśmy jednak nie popadli w niepotrzebne kompleksy — trzeba powiedzieć, że te irytujące, ale w gruncie rzeczy, „drobne" sprawy nie mogą przesłaniać faktów podstawowych. Do nich należy m. in. fakt, że w ciągu półrocza księgarnie DK sprzedały wydawnictw za 818 mln zł. Otrzymałem właśnie bardzo ciekawe i najnowsze dane dotyczące handlu książką. I wiecie w jakim województwie notuje się największą dynamikę sprzedaży książek? W rzeszowskim. Tak, tak — w województwie, które kiedyś stanowiło tzw. Polskę B, bez czytelniczych i kulturalnych tradycji. A wiecie jakie dwa województwa wypadły najgorzej w tej ocenie? Warszawskie i wrocławskie. No cóż — jest takie powiedzenie, że najciemniej bywa pod latarnią.

Rzecz także jednak i w tym, że sama świadomość i księgarska wiedza o czytelniczym rynku nie zastąpi możliwości. Cóż z tego, że Instytut Książki i Czytelnictwa organizuje szereg ankiet i plebiscytów? Wynika z nich także i to o czym wiemy wszyscy... Na przykład popularność dokumentalnej literatury na temat drugiej wojny światowej. Można w tym miejscu postawić modne ostatnio pytanie — „ale co to daje?" Właśnie. Znakomita ponoć i fundamentalna książka Maszlanki „Druga wojna światowa" ukaże się w nakładzie... 6 tysięcy egzemplarzy. Tysiące potencjalnych nabywców będzie musiało odejść od lady z przysłowiowym kwitkiem.

Według opinii księgarzy przeciętnie duża księgarnia może sprzedać ok. 100 egzemplarzy tego rodzaju publikacji. Niestety, wiedza nie zastąpi możliwości. „Wiemy — mówi księgarz — że młode małżeństwa, zakładając w nowym mieszkaniu własną bibliotekę, pragną mieć przede wszystkim „Trylogię", „Encyklopedię", „Słownik wyrazów obcych", książki klasyków itp. Cóż nam jednak z tej wiedzy — mówi smętnie księgarz.

Takie właśnie pozycje podstawowe dla domowej biblioteki rozchodzą się w ciągu paru dni lub paru godzin — „Pan Wołodyjowski" z fotosami z filmu („Popatrz — już z tego filmu zdążyli zrobić książkę" — powiedział pewien młodzieniec), „Dzieje literatury polskiej" Krzyżanowskiego, „Historia filmu" Płażewskiego...

Wiceminister Kultury i Sztuki, Kazimierz Rusinek mówiąc o trudnościach z papierem oświadczył, że niestety obiektywne potrzeby wyrażające się 170 milionami rocznego nakładu książek — nie będą zaspokojone. Ten trudny okres potrwa przypuszczalnie do roku 1975. Tak więc nie bardzo optymistycznie rozpoczyna się księgarski sezon.

Wróćmy jednak do wyników ankiet i plebiscytów, do opinii księgarzy o chłonności rynku czytelniczego. Wiadomo zatem, że encyklopedie i leksykony, opracowania słownikowo-monograficzne mają nieustające „wzięcie". I co z tego. Znajdująca się aktualnie w druku praca pt. „Kanarki" traktująca o „rozmnażaniu, nauce śpiewu młodych samczyków i sposobie krzyżowania ras ozdobnych" — będzie miała nakład... 25 tys. egzemplarzy. A praca pt. „Róże w ogródku" ma zaplanowany nakład 100 tysięcy egzemplarzy... Natomiast pierwszy w języku polskim słownik encyklopedyczny o technice rakietowej i kosmosie ma nakład... 10 tysięcy egzemplarzy: Dziesięć razy mniej niż dysertacja o różach w ogródku. Jak to więc jest? Czy naprawdę żyjemy w erze kosmicznej czy raczej ogrodniczej?

Ale są to już pytania retoryczne i nie do księgarzy należy je kierować. Mówiąc o polityce wydawniczej często używamy obrazowego powiedzenia o przykrótkiej kołdrze. Czasem mam wątpliwości czy ta kołdra jest rzeczywiście przykrótka, czy też po prostu nie umiemy się nią dobrze okryć.

JERZY WIDOK

Bez strachu

ZŁE SŁOWA

Oto siedzi przy nas człowiek — widzimy jego twarz — słyszymy i czujemy oddech. Ręce człowieka leżą na naszym stole... Mówimy i słowa nasze są grzeczne i obojętne — godzimy się na obecność tego człowieka. Człowiek wstaje i powoli od nas odchodzi — jeszcze słychać jego stąpanie, jeszcze widać polę marynarki, a nasze słowa, obojętne ciągle znaczeniem, stają się niespokojne w brzmieniu, podlatują, falują, drżą. Człowiek znika całkowicie, ale trudno uwierzyć w jego nieobecność tak jeszcze świeżą. Powoli wierzymy w jego nieobecność, można już mówić o nim bez niego. Piętnujemy go teraz, wyceniamy, potępiamy i szkalujemy. Nie ma go przecież, nie będzie się zatem bronił. Zapewne gdzieś tam jest, chodzi sobie ulicą, lub siedzi przy stole innych ludzi, którzy milczą o nim wobec jego obecności. O kim my właściwie mówimy — przecież gdyby pojawił się nagle przy naszym stole umilklibyśmy wobec jego twarzy, oddechu i rąk. Przecież wtedy kiedy nie ma go przy nas on także ma twarz (przez nas nie widzianą), oddech (przez nas nie słyszany), ręce (przez nas nie widziane). Przeszkadzał nam w złych ocenach swoją obecnością — czy był groźny? Czy wzbudzał zawstydzenie? — Raczej nie, ale przecież gdyby nagle powrócił po zapomnianą zapalniczkę — trzeba by umilknąć w pół słowa, zaczerwienić się, śpiesznie odejść... Wymawiając złe słowa doznajemy leciutkiego niepokoju (może jednak wróci, nakryje nas plotkujących). To pewne ryzyko — tak jak na polowaniu... trudno obliczyć dokładnie jakie szanse ma nasze zwierzę. Czy on domyśla się naszej umiarkowanie niebezpiecznej zabawy, czy czerwienią mu się właśnie uszy, a może jeden z nas zdradza i sam plotkując roznosi plotki, bawi się nim i nami. Tak złe słowa wypowiedziane w licznym gronie stworzyły możliwości dla intryganta. Kogoś kto (łowca bardziej wyrafinowany) zabawi się i zwierzyną i naiwnymi myśliwymi... Jak to wszystko zatrzymać? Czego nie uczynić? Wydaje się, że trzeba starać się o pełniejszą obecność międzyludzką. Kontakty nasze z tym, o którym mówimy złe słowa powinny być szczere, ockonwencjonalizowane tak by brakło przepaści między jego fizyczną obecnością i nieobecnością. Fragmentaryczna, fizyczna obecność i nieobecność, winny być uzupełnione przez ciągłą obecność społeczną i moralną i przez wielki, serdeczny śmiech. Kto by tam syczał złymi słowami gdyby śmiać się umiał, przez silny, przepalający płacz, kto by tam syczał złymi słowami gdyby płakać umiał. Ale teraz On jeszcze nie odszedł — oto siedzi przy nas człowiek — widzimy jego twarz — słyszymy i czujemy oddech. Ręce człowieka leżą na naszym stole, mówimy i słowa nasze są grzeczne i obojętne — godzimy się na obecność tego człowieka. Człowiek wstaje i powoli od nas odchodzi — jeszcze słychać jego stąpanie, jeszcze widać i polę marynarki, jeszcze nie padło pierwsze słowo i to jest nasza szansa — ta chwila w której jeszcze nie...

BERNARD SZTAJNERT

LUIGI TARONI

SAMOBÓJSTWO

Inspektor Walter Hoggings, przysłany służbowo ze Wschodu do miasta Sacramento, wrócił do hotelu zupełnie zniechęcony.

Bezskutecznie ścigał groźnego gangstera. Rysopis podany przez policję był następujący: „Długie baczki, czarne, groźne oczy, złączone brwi, należy do bandy podejrzanych typów, zw. cejijuntos".

Inspektor mruczał rozgoryczony: — Gdybym się do tego opisu zastosował, co czwarty człowiek w Sacramento byłby do zaaresztowania.

Hoggings przesadził, proporcja wynosiła raczej jeden na tysiąc, czy nawet trzy tysiące. Właśnie dwóch takich speców, cejijuntos, słynnych na całą okolicę, znajdowało się pewnego wieczoru w knajpie u Pedrita. Szczególnie jeden... Lecz nikt mu się nie przyglądał. Słyszano wiele o nim, lepiej było udawać, że się go nie widzi.

Wszedł ktoś nieznany. Przy stolikach nikt się nie poruszył. Gość stał niepewny, nerwowy tik ściągnął mu usta. Rozejrzał się po szeregach opartych przy barze Meksykanów, a następnie po sali. Widać było, że mężczyzna pochodził z innego środowiska, może był cudzoziemcem.

Po chwili zdecydowanym krokiem udał się do trzeciej separatki.

— Czy pan Juarez? — zapytał siedzącego przy stoliku samotnego mężczyznę.

— Tak, to ja. A pan — van Harden? — zapytał mężczyzna z baczkami.

— Tak. Zgadza się.

— Chwileczkę. Kto panu podał moje nazwisko?

— Esteban el Buey.

— Dobrze — Juarez uśmiechnął się. — Inaczej by się pan nie odważył na ten krok.

Teraz już znikła nieufność gangstera. Esteban opowiadał mu wczoraj o nowym kliencie, Holendrze van Hardenie.

Obydwaj zaczęli rozmawiać, popijając gin.

— Jest tu robota dla pana, wyjaśniał van Harden — prawie miłosierny uczynek w stosunku do bliźniego. Widząc ironiczne spojrzenie Meksykanina, dodał:

— Nie żartuję. Proszę sobie wyobrazić, że jest pan chory na nieuleczalną chorobę. Wewnątrz wszystko gnije, a wygląda pan jak okaz zdrowia. I że w polisie asekuracyjnej, która ma zapewnić byt rodzinie po pana śmierci, nie przewiduje się przypadku samobójstwa... I że pan nie ma odwagi odebrać sobie życia. Czyż nie byłby to dobry uczynek ze strony człowieka, który posłałby panu celny strzał z pistoletu?

Już niewiele brakowało aby całkowicie przekonać Juareza. Zapytał po prostu:

— O kogo chodzi?

— O mnie! Już dłużej nie mogę wytrzymać!... A kiedy pomyślę o mej żonie i dzieciach... — nerwowy tik ściągnął boleśnie usta mówiącego — nie znajduję siły, aby tego dokonać. Zostawiłbym ich w nędzy. Suma asekuracyjna jest bardzo wysoka.

Juarez przytakiwał w milczeniu. Zapytał jeszcze:

— Ile pan płaci?

— Pięć tysięcy dolarów. Płacę natychmiast.

— Pięć tysięcy?... — Juarez już w myśli przystał na warunki. — Ale dlaczego natychmiast?

— Dobre sobie! A kto by panu zapłacił po tym wszystkim?

— Zgoda. Wie pan, nie lubię, aby mi płacono z góry. To przynosi nieszczęście.

— W tej sytuacji nie widzę innego rozwiązania. Albo zaraz, albo nic. Chcę, aby sprawa była załatwiona jeszcze dzisiaj. Gdy wyjdę, stąd, pojadę wprost za miasto, do Murena, gdzie mam małą willę. Znajdzie mnie pan o godzinie 6 po południu w sali na parterze. Wejdzie pan tylko, strzeli do mnie i pójdzie. Będę siedział w fotelu. Zażyję przedtem kilka proszków usypiających, w ten sposób przejdę tylko ze snu do... — Znów tik zjawił się na twarzy.

Juarez pomyślał: „Jaki to tchórzliwy królik, obrzydliwe".

Van Harden opanował się. — Oto pieniądze. — Wydobył z kieszeni rulon i rozejrzawszy się wokoło, podał go Juarezowi.

Ten spojrzał na banknoty, stwierdził, że nie były serynje i włożył rulon do kieszeni.

— Zgoda. A więc o godzinie 6 — rzekł. — Przykro mi bardzo, panie van Harden, ale muszę dotrzymać umowy. Jest pan moim klientem.

Holender podał mu rękę i oddalił się bez słowa.

Punktualnie o godzinie 6 Juarez przyjechał do wsi Murena. Biegł pieszo, aby nie zostawić śladów pojazdu. Odnalazł willę i wszedł do środka. Wewnątrz, w przyciemnionej sali, zobaczył swego klienta, wyciągniętego na fotelu. Zbliżył się o kilka kroków i strzelił z tłumikiem. Usłyszał dziwny hałas, jakby tłuczonego szkła.

Nim bandyta zdążył zrozumieć co się stało, znalazł się w ramionach czterech silnych policjantów.

Wszystko wyjaśniło się w czasie procesu. Van Harden istniał rzeczywiście, lecz nie był nim ów „klient", który przyszedł do Pedrita. Holender przyjaźnił się z detektywem Walterem Hoggingsem i postanowił mu pomóc. Jako znany i bogaty kupiec miał wiele znajomości w Sacramento. Znał także Estebana. Wydobył od niego podstępem nazwisko bandyty, tego właśnie, który zawsze wychodził ze wszystkiego cało. Był to poszukiwany przez policję amerykańską Juarez. Uradowany Holender powtórzył swemu przyjacielowi detektywowi uzyskane wiadomości.

Walter Hoggings, znając miejsce pobytu bandyty, przystąpił do działania. Za młodu trudnił się aktorstwem. Nietrudno mu teraz przyszło zagrać rolę desperackiego klienta. Szczególnie wzruszyły Juareza owe bolesne tiki wstrząsające twarzą „nieszczęśliwca".

Na rozprawie sądowej okazało się także, iż detektyw miał przy sobie mały aparat, który zarejestrował całą rozmowę z Juarezem w spelunce Pedrita.

Jak się łatwo domyślić, bandyta strzelał do manekina. Banknoty, chociaż nie pochodziły z serii, zostały jednak dokładnie spisane i żaden bank nie przyjąłby ich bez przywołania policji. Odzyskano prawie wszystkie.

Juarez został skazany na dożywocie. Przed wyjazdem mógł się jeszcze zobaczyć ze swym nieostrożnym przyjacielem Estebanem. Powtórzył mu zdanie, które wirowało mu w głowie przez cały czas trwania procesu:

— Pamiętaj, nie należy godzić się nigdy, aby ci zapłacono z góry. Przynosi nieszczęście!

Oprac. A. S.

Lewym okiem

ANI DE GAULLE,
ANI ZBYSZKO CYGANIEWICZ...

Każdy chciałby być nieprzeciętnym, każdy wierzy w to, że jest nieprzeciętny, a przecież to wcale nie taka wielka rozkosz. Co ja mam, dla przykładu, z tego, że wzrostem przekroczyłem podobno jakieś tam antropometryczne widełki i znalazłem się w nieprzeciętnej grupie, nazwanej pięknie przez uczonych mężów z resortu handlu — nietypową?

Ta nietypowość zresztą w pokoleniu następnym jest już najzupełniej typowa, czego być może nie dostrzegli jeszcze antropometrażowcy, a za nimi — resort handlu. I później jest tak:

Od szeregu lat tłumaczono, aż uwierzyliśmy, że trudności w znalezieniu odpowiedniego rozmiaru ubrania, swetra, koszuli, piżamy, obuwia wynikają stąd, że sklepy są za małe. W małym sklepiku nie zmieści się szeroki wachlarz. Tak mówiono, mając na myśli „szeroki wachlarz asortymentowy", czyli duży wybór rozmiarów. Wszystko będzie pięknie, jak zbudujemy kilka tysięcy nowych miast, z nowymi, wielkimi sklepami.

W niektórych miastach niektóre branże mają już wielkie sklepy. W tych wielkich sklepach wach.arz jednak nadal pozostał mały. — Pan jest nietypowy — powiada pani w eleganckim fartuszku do co drugiego klienta. Spoglądamy po sobie, my — nietypowi — i idziemy dalej. Idziemy do sklepu, wymyślonego specjalnie dla nas. Taki półśrodek, a może i całkiem dobry w pomyśle środek — sklepy z niektórymi, skraj nie małymi i skrajnie dużymi rozmiarami wszelkiej lekkiej i ciężkiej odzieży.

Piżama na 185 cm. wzrostu? Nie ma takich. W ogóle leży na półce kilka męskich piżam żółtych i jedna brunatna, wszystkie na 170 cm. Widocznie i taki wzrost też jest nietypowy, choć nie wiadomo: czy dlatego, że taki duży, czy dlatego, że taki mały?

Leży kilka pudełek z koszulami kaliskimi „Adam", „Na pana nie będzie. Mamy tylko numer 39". — Czy to jest nietypowy numer? — Dlaczego nietypowy? Normalny numer, proszę pana. — To po co leży u pani normalny, taki sam jak wszędzie, a właśnie tych większych brak?

Pani wzrusza ramionami, nudzi się, nikt nie przychodzi po brunatną piżamę i po jedną z pięciu koszul, leżących na półce od roku. Typowych, normalnych, przeciętnych.

O swetrach nie ma mowy, nie robi się. Przemysł oczywiście udowodniłby, że się robi, i to właśnie tyle, ile zamówił handel. Handel wzrusza ramionami i nudzi się, odsyła do sklepu dla nietypowych, gdzie nudno jeszcze bardziej.

Ciekawe, że ubrania są! Może mniejszy wybór fasonów i kolorów, ale są rozmiary! Łatwiej dobrać i kupić garnitur, niż to co pod spodem. W całej Łodzi, za żadne pieniądze nie dostaniesz siatkowej podkoszulki i zwyczajniutkich gatek numer 7. Cóż to za wyjątkowa wielkość? Ani De Gaulle, ani Zbyszko Cyganiewicz, ani nawet przeciętny londyński policjant. Dlaczego taka dyskryminacja? A jeśli już naprawdę z pomiarów i statystyk wynikło, że Polak powinien być mniejszy, jeśli mimo wszystko powołano te sklepy dla nienormalnych — przepraszam, nietypowych — to dlaczego i tam nietypowy załatwiany jest typowo, czyli odmownie?

Jak widzicie — samo zmartwienie z tej nieprzeciętności. Najlepiej zawsze takiemu, co nosi średni numer pantofli, średni numer kołnierzyka, średnią długość szelek, wielkość kapelusza, rozstaw okularów, szerokość krawata, grubość laski. Dobrze przy tym mieć średnie wykształcenie, przeciętny pomyślunek, przeciętne poglądy, przeciętne skrupuły i przeciętną skłonność do pracy. Dopiero wtedy życie może być nieprzeciętnie wygodne, a statystyka z antropometrią ograniczy się do powtarzania wciąż tych samych liczb. Będą to liczby skrajne i jednocześnie przeciętne. Kanada!

CWIEK.

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2178. B-12.